W NASTĘPNYCH NUMERACH

- *Ariusz Małek*
  Komisja Organizacyjna Kamery Wojny i Domen Nowych Prus Wschodnich w Białymstoku

- *Adam Miodowski*
  Józef Kalasanty Szaniawski - polski ultramontanin

- *Adam Bartnicki*
  Kryzys świadomości europejskiej w II połowie XVII wieku

- *Alicja Trembowska*
  O międzywojennej Gdyni

- *Ali Miśkiewicz*
  75 lat temu Polska wróciła nad Bałtyk

- *Halina Parafianowicz*
  Jacqueline B. Kennedy - amerykańska First Lady

9 GRYFITA

Uniwersytet w Białymstoku BIBLIOTEKA Wydział Filia w Ełku

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY

1995

JUBILEUSZ

Z PUBLIKACJI PROF. WŁADYSŁAWA A. SERCZYKA

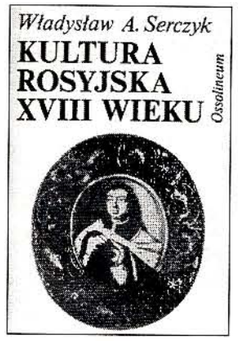

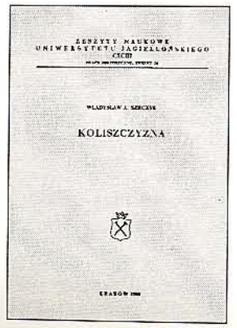

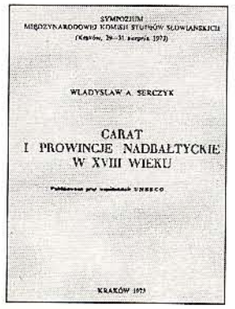

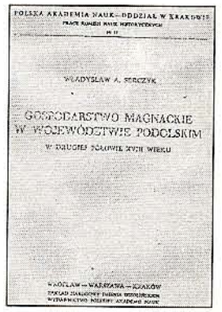

D-[cz]25/p3.06.17.

9 GRYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY

Nr 4/9/95

UNIWERSYTET w BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA HUM. 010447

SPIS TREŚCI

Władysław A. Serczyk
Przemówienie, którego nie było s. 3

ZAPISANE

- Historia jest poezją (zapis audycji Teresy Kudelskiej z Radia Białystok z cyklu: Portrety literackie - Władysław A. Serczyk s. 6
- Artur Julian Kowzan Profesor Władysław Andrzej s. 9
- Maria Maranda Podlasiak z miłosnego wyboru s. 10

DEDYKOWANE JUBILATOM

- Ks. Tadeusz Krahel Szkolnictwo kościelne w diecezji wileńskiej do 1795 r. s. 11
- Antoni Mironowicz Źródła rzymskie do dziejów Cerkwi na Białorusi i Ukrainie w XVII wieku s. 13

Mieczysław Wrzosek
Na finiszu takiej sobie kariery zawodowej s. 15

ZAPISANE

- Jan Snopko Garść wspomnień z seminarium Profesora Mieczysława Wrzoska s. 19

DEDYKOWANE JUBILATOM

- Adrian Konopka Garnizon Białystok w 1913 roku (Dziewięciu generałów carskich) s. 21
- Halina Parafianowicz Unia Środkowoeuropejska i jej wizja powojennej Europy Środkowej s. 24
- Ks. Kazimierz Litwiejko Oddział leśny Stefana Ejsmonta ps. "Wir" (IV. 1945 - 15. IV. 1947 r.) s. 26
- Ali Miśkiewicz Wspominając tamten Sierpień s. 29

RECENZJE

- Nie tylko pierwsza brygada s. 31
- Fragmenty recenzji s. 10, 18, 20

Oddajemy do rąk Czytelników kolejny numer „Gryfity", tym razem w całości poświęcony dwóm wybitnym historykom Profesorom naszej uczelni - Władysławowi A. Serczykowi - Rektorowi i Mieczysławowi Wrzoskowi - Dziekanowi Wydziału Humanistycznego.

Obydwaj Jubilaci odgrywają ogromną rolę w życiu naszej akademickiej społeczności. Ich trud przybliża nam dzień powstania Uniwersytetu Zygmunta Augusta w Białymstoku.

AD MULTOS ANNOS!

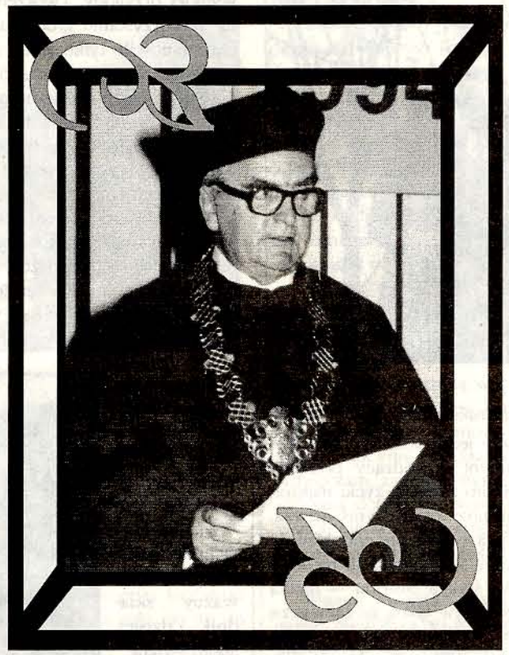

Władysław A. Serczyk

Przemówienie, którego nie było

Nie pamiętam, jak to się zaczęło i nie wiem, jak i kiedy skończy. Wprawdzie w dokumentach znaleźć będzie można dokładne daty i nazwy miejscowości, ale przecież nie one są najważniejsze, chociaż i Kraków — miasto, w którym się urodziłem, a także Uniwersytet Jagielloński, gdzie kończyłem swoją edukację i przepracowałem pełne lat trzydzieści, stanowią dla mnie miejsca święte, cel częstych pielgrzymek (nie tak częstych, jakbym chciał) oraz przedmiot nieustającej tęsknoty.

Zdaję sobie sprawę, jak ogromny jest rozmiar mej niewiedzy. Nie wiem na przykład, dlaczego zawsze marzyłem o zieloności późnej wiosny czy wczesnego lata, rześkim, wymytym deszczem przeźroczystym powietrzu? Dlaczego stale powracałem myślami do rozległych widoków zapamiętanych z beskidzkich i tatrzańskich wędrówek, tak pięknych, że kojarzących się z miejscami kuszenia Chrystusa przez szatana... Nadal maszerowałbym gdzieś przed siebie... I chociaż sądzę, że to już prawie niemożliwe, po głowie tłucze się myśl obłąkańcza, że gdybym zebrał się jeszcze i ruszył piechotą po polskich drogach w ostatniej życiowej peregrynacji, spadłyby ze mnie wszelkie choroby, a znękane serce znów przypomniałoby sobie lata młodzieńcze.

Trzeba zasiąść na przygotowanym fotelu jubilata. Znam siebie i wiem, że nie wytrzymam w nim długo. Słodka bezczynność nie dla mnie została wymyślona. Przyda się jednak chwila refleksji nad własnym życiem.

Chciałoby się wymazać popełnione w przeszłości omyłki, których nie było wprawdzie wiele, lecz stanowią bolesną zadrę w pamięci.

Chciałoby się raz jeszcze utwierdzić tych, których kochałem i kocham, w ich wielkiej dla mnie przyjaźni i oddaniu. Wreszcie, co najważniejsze, chciałoby się wykrzyczeć każdemu prawdę przez siebie odkrytą, jaką zapewne już wielu odkryło dla siebie, że w życiu ludzkim wartością największą jest życie samo.

Moja człowiecza historia: urodziłem się, żyję, odejdę...

Jaka z tego korzyść dla historyka? Czy ma sumować podobne sobie ludzkie życiorysy, ubogacając je pikantnymi szczegółami mogącymi zainteresować ewentualnego czytelnika znudzonego studiowaniem kolejnego, pozbawionego oryginalności wielce uczonego dzieła? Zapewne tak, skoro w każdej niemal rozprawie spłodzonej przez profesjonalnych dziejopisów znaj-

Rok 1938, prof. Władysław A. Serczyk (w wózku) prof. Jerzy Serczyk (w berecie)

Rok 1979, Jugosławia (Macedonia)
prof. Środulski (rektor Politechniki Krakowskiej) i Serczykowie

dziemy niejedno odniesienie do losów jednostek. Nb. dzięki temu łatwo dorzucić następny argument dowodzący potrzeby poszerzania wiedzy o przeszłości. Skoro życie w życiu najistotniejsze a historia zajmuje się życiem ludzi, czyli czymś najważniejszym, to historia a nie matematyka winna pretendować do przodownictwa wśród nauk wszelkich. Matematyka to nauka o doskonałości porządku i nieporządku świata, historia — nauką o ludzkim życiu i o człowieku samym. Tyle tylko, że zazwyczaj tego człowieka już nie ma, bowiem został zamknięty w granice narodzin i śmierci. O królowej nauk – filozofii, jako o panującej, pisać nie wypada. Pozostaje tylko kornie skłonić przed nią głowę.

Sześćdziesiąt lat życia, z czego prawie trzy czwarte poświęcone historii... Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniejszą mam ochotę do mówienia na ten temat. Doszedłem dość dawno do momentu, w którym zaczyna się rozumieć rozległość własnej niewiedzy. Może dlatego uczę wychowanków mówić: „Nie wiem", nakazując jednocześnie nieustannie poszukiwać odpowiedzi na kolejne, mnożące się pytania. Moi mistrzowie uczyli tego własnym przykładem, nie zwracając uwagi na miernoty pojawiające się niekiedy nawet w najbliższym otoczeniu, hołubiąc natomiast ludzi, ich zdaniem, wyróżniających się zdolnościami i talentem.

30 sierpnia 1979 roku,
od lewej: Władysław Andrzej, Ewa i Jerzy Serczykowie

Gdy spojrzę poza siebie, widzę, że zawsze nęcił mnie smak wielkiej przygody. Tworzenie zręcznych drobiazgów opartych na wykorzystaniu źródła do ostatniej zawartej w nim kropeczki stanowiło tylko jeden z elementów radosnej zabawy z historią, prawdziwą satysfakcję dawało jednak dopiero wzniesienie solidnego gmachu posadowionego na nowych fundamentach. Znam więc zarówno uczucie zmęczenia a zarazem szczęścia pojawiającego się w chwili postawienia końcowej kropki na ostatniej stronie wielkiej syntezy jak i zadowolenie z ukazania się drukiem przyczynku informującego o odkryciu jeszcze jednej rudni na Podolu lub kolejnego magnackiego projektu zreformowania jakiegoś latyfundium na Ukrainie i przeniesienia poddanych z pańszczyzny na czynsz (jednak nie w celu ulżenia ich doli, jak chętnie twierdziliby niektórzy, lecz wyłącznie w celu powiększenia własnych zysków).

W historii ludzkości najczęściej zaskakuje mnie „współczesność" myślenia przodków. A przecież nie powinna dziwić, skoro wiem, że na przykład doświadczenia starożytności stanowią poważny składnik dzisiejszego świata.

*_ w krakowskim mieszkaniu_*
Ewa i Władysław Serczykowie

Do kolejnych wynalazków dochodzono mozolnie i z wielkim trudem. Często sama idea wyprzedzała istniejące możliwości techniczne, wskutek czego świetny pomysł genialnej jednostki musiał długo czekać na urzeczywistnienie, nieraz kilkaset lat. Kiedy indziej skoncentrowanie prymitywnych środków na realizacji wytyczonego celu przynosiło rezultat wzbudzający podziw również obecnie, w XX wieku, gdy szybki postęp cywilizacji w znacznym stopniu zneutralizował wrażliwość naszego pokolenia.

Kiedy jednak zajrzymy do powstałych przed wiekami dzieł filozoficznych, traktatów historycznych, mitów, antycznych tragedii i poematów, a więc wszędzie tam, gdzie o wielkości i trwałości produktu zdecydowała „czysta" myśl ludzka, nie zaś niedoskonała technika, zachwyca ich dojrzałość i wspomniana wyżej „współczesność". Dawni bohaterowie sceniczni mówią tym samym językiem, którym mówimy obecnie, tak samo kochają, są zazdrośni i wyprowadzani w pole, śmieją się i płaczą z tych samych powodów. Ludzki rozum i uczucia wydają się trwać ponad czasem historycznym. I z pewnością tak jest, skoro dla historyka dzieje ludzkości zaczynają się właściwie dopiero od chwili, gdy człowiek zaczął posługiwać się językiem, wzbogacać go oraz wypowiadać i zapisywać składne zdania.

Maj 1984 r. Montreal

Słowo odgrywa w pracy historyka wyjątkową rolę. Słowa zawarte w źródłach stanowią dlań materiał, z którego tworzy obraz przeszłości, a że obraz ten również ze słów się składa, troszczyć się musi badacz o ich właściwy dobór: po prostu o to, by zainteresować nim tych, dla których jest przeznaczony, a przede wszystkim — by jak najlepiej odtworzyć rzeczywistość historyczną oraz starać się pomóc w zrozumieniu przebiegających w niej procesów. Utalentowani pisarze zabierają historykom czytelników a niekiedy w większym stopniu kształtują świadomość społeczną. Trudno mieć o to pretensje czy to do pisarzy, czy też do społeczeństwa. Historyk też powinien mieć talent. W każdym razie nikt mu tego nie zabrania.

Zastanawia tylko czasem, dlaczego obecnie, gdy zlikwidowano urząd cenzorski, pojawiają się prace obciążone piętnem jednostronności i to wychodzące spod piór ludzi młodych, którzy nie muszą publicznie usprawiedliwiać się za prawdziwe lub rzekome błędy popełnione w minionych latach, bowiem dopiero teraz stawiają pierwsze kroki w nauce. Być może w ten sposób, niekiedy podświadomie, starają się udokumentować swoją odmienność od własnych nauczycieli a nawet — zdystansować się od poprzedników. Mimo wszystko, bez względu na rzeczywiste powody, wygląda to tak, jakby nie bacząc na otrzymane gruntowne wykształcenie nowa generacja historyków wyżej ceniła Dichtung od Wahrheit. Patrzę teraz na swoją drogę życiową oraz losy mego pokolenia i mówię z pewną autozłośliwością: „Drodzy młodzi! Na zmyślanie macie jeszcze czas! Zostawcie to starszym!"

Sześćdziesięciolatkom trudno wierzyć. Tylko nieco więcej lat miał profesor Kazimierz Wyka, pod którego urokiem zawsze się znajdowałem i który (nie wiem dlaczego) obdarzał mnie swoją sympatią, gdy zostałem dyrektorem Biblioteki Jagiellońskiej. Spotkaliśmy się wówczas w Collegium Maius na uroczystym wręczeniu medalu „Merentibus", odznaczenia ustanowionego przez Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego dla osób szczególnie zasłużonych, profesorowi Kazimierzowi Dobrowolskiemu, wybitnemu socjologowi i etnografowi, strasznemu gadule, liczącemu wtedy pełne lat osiemdziesiąt. Jego przemówienie dziękczynne trwało bardzo długo, a gdy przekroczyło pół godziny, wymknęliśmy się z Wyką na chwilę do sąsiedniej sali, by z trunków przygotowanych dla gości wybrać i łyknąć sobie coś mocniejszego „dla równowagi". Wówczas prof. Wyka powiedział: „Słyszałem, że został pan szefem Jagiellonki. Wspomni pan moje słowa: to najgorsza decyzja pańskiego życia". Zafrasowałem się mocno, ale po latach okazało się na szczęście, że tym razem Wielki Kazimierz omylił się a czterolecie mych rządów w BJ wspominam ciepło nie tylko ja, lecz również moi ówcześni podwładni.

Boże! od tamtego wydarzenia minęło już prawie lat dwadzieścia!

Dobrze byłoby pogrążyć się we wspomnieniach, póki jeszcze nie zawodzi pamięć i można — jak sądzę — z dystansem spojrzeć na wielkich i wspaniałych, z którymi mogłem spotkać się w przeszłości oraz na... samego siebie i własne dokonania. Może jeszcze zdążę napisać coś w rodzaju pamiętnika, a może wszystko wraz ze mną odejdzie w niebyt na zawsze? A jeśli uda się zatrzymać trochę wydarzeń na kartach jakiegoś diariusza, czy stać mnie będzie na ukazanie całej wielobarwnej rzeczywistości, której byłem cząstką? czy wystarczy pracowitości, umiejętności, talentu? — a więc tego wszystkiego, czego wymagam od współpracowników.

Wdzięczny jestem tym, którzy okazywali mi pomoc w rozwiązywaniu bardzo nieraz trudnych problemów życiowych. Natomiast w nauce, praktycznie, do wszystkiego dochodziłem sam, własną pracą i odziedziczonym po chłopskich przodkach uporem. Nawet nabytą w ostatnich latach umiejętność posługiwania się komputerem opanowałem bez kursów i instruktorów, jedynie przy pomocy książek. Podobnie było zresztą z językami obcymi, chociaż w tym wypadku znacznie więcej zawdzięczam zagranicznym audycjom radiowym. Profesorom, z którymi dobry los mnie zetknął i pozwolił niekiedy nawet współpracować, dziękuję za to, że zawsze traktowali mnie poważnie, jak równego sobie kolegę. To diabelnie zobowiązywało.

Pragnę doczekać chwili powstania uniwersytetu w Białymstoku. Na północno-wschodnie Kresy Rzeczypospolitej przyjechałem po to; wyłącznie w tym celu osiadłem tu na stałe, podejmując się na koniec (za zgodą i z wyboru Kolegów) funkcji włodarza miejscowej filii Uniwersytetu Warszawskiego. Bez minoderii twierdzę, że udało mi się czegoś dokonać i przybliżyć długo przez wszystkich oczekiwany moment obwieszczenia jej pełnej uniwersyteckiej samodzielności.

1 maja 1986 r., marsz z Krynicy na Jaworzynę (pożegnanie ze studentami ze swojego krakowskiego seminarium, _ a Czarnobyl w tym czasie emituje_)

To ogromna satysfakcja.

Gorzej, że gdy znalazłem się w polskich i cudzoziemskich encyklopediach, nie bardzo stać mnie na to, by kupić sobie którąkolwiek z nich. Mogę natomiast nabyć „Poradnik szaradzisty", gdzie występuję jako hasło na siedem liter, jakże miłe przy tym znajdując objaśnienie: „Serczyk Władysław, historyk polski". Bo nim po prostu jestem.

Historia jest poezją

(zapis audycji Teresy Kudelskiej z Radia Białystok składającej się na cykl zatyt. „Portrety literackie", a wyemitowanej po raz pierwszy w kwietniu 1995 roku)

Teresa Kudelska: Panie profesorze, starożytni mówili, że historia jest nauczycielką życia. Czy historyk XX wieku potwierdza tę maksymę?

Władysław A. Serczyk: Starożytni mówili, że historia jest sztuką - więc jednym i drugim i należałoby to jakoś zsynchronizować i mówić jednocześnie. Jako historyk zawodowy sądzę, że historia jest nauczycielką życia w tym sensie, że pokazuje jak nie należy postępować. Po prostu, jesteśmy mądrzejsi o błędy popełnione przez nas samych i przez naszych ojców, dziadów, itd. I powinniśmy się tych błędów wystrzegać. Rzecz jasna, historia się nie powtarza jak sądzą niektórzy, ale powtarzają się pewne sytuacje, powtarzają się ludzkie zachowania. I jeśli te typowe ludzkie zachowania przynoszą dobroczynny skutek - to powtarzajmy je aż do znudzenia. Natomiast jeśli one chociaż raz przyniosą skutek odwrotny - wówczas starajmy się unikać tego sposobu postępowania. A dlaczego łączę to z faktem, że historia jest sztuką? Wielu chciałoby widzieć w historii taką samą naukę jaką jest biologia, fizyka - a więc możliwość eksperymentu, czy też matematyka, gdzie pewne założenie możemy przyjąć a priori. A historia jest eksperymentem na człowieku, nigdzie się nie powtarzającym, choćbyśmy tymczasem bardzo tego chcieli. I właśnie dlatego trudno wyciągnąć jakieś pewne wnioski, które by określały nasze postępowanie obecnie albo w przyszłości. Raczej usiłujmy szukać przeszłości dla usprawiedliwienia naszego postępowania.

Teresa Kudelska: Wydarzenia historyczne można w pewnym sensie przewidywać, czy tylko post factum się mówi: a nie mówiłem, że to tak będzie?

Władysław A. Serczyk: Ja sądzę, że tak i tak. Czy w tej chwili jestem doktrynerem? Jak pani widzi dlatego można założyć, że jeśli jest przygotowany zamach stanu i tak przygotowany, że wszyscy widzą a strona przeciwna jest zbyt słaba, żeby zamachowi się przeciwstawić - to ten zamach dojdzie wreszcie dojdzie do skutku i dokona się. Chociaż nigdy nie wiadomo, czy na przykład sąsiednie państwo, bardzo mocne i potężne, któremu nie w smak będzie ten zamach stanu ot, chociażby w trosce o dobro swoich obywateli wcześniej o dzień jeden lub dwa nie wprowadzi swoich wojsk z „dobroczynną, pokojową, przyjazną misją" na teren sąsiedniego państwa. I wtedy, przypadkiem rzecz jasna, przyszli zamachowcy mogą być postrzeleni w jakiejś przypadkowej strzelaninie, mogą niechcący wejść pod rozpędzony samochód wojskowy, mogą nagle zniknąć z powierzchni ziemi, a część być może będzie wolała się udać na dłuższy pobyt za granicą...

Teresa Kudelska: No właśnie, wspomniał pan Profesor o przypadku. Jaka właściwie jest jego rola w historii? I czy jest to element historiotwórczy?

Władysław A. Serczyk: Z całą pewnością tak. Z tym, że tych przypadków w historii tak wiele, że zaczynam podejrzewać, iż jest to jakaś historyczna prawidłowość...

Teresa Kudelska: ... ale w tym szaleństwie jest metoda...

Władysław A. Serczyk: O ile w tym szaleństwie jest metoda, bo proszę zwrócić uwagę na fakt, że praktycznie rzecz biorąc niemal wszystko jest rzeczą przypadku. Bo przypadkiem jest, że ktoś popatrzy w niebo, przypadkiem jest, że ten ktoś kto popatrzył w niebo ma za sobą długoletnie studia matematyczne i astronomiczne, przypadkiem jest i to, że ten ktoś jest człowiekiem erudowanym, obudowanym wiedzą, że ma zdolności do refleksji i krytycznego spojrzenia na otaczający go świat. Przypadkiem jest to, że on być może dla zabawy powie: a może to nie jest tak, że słońce obraca się wokół Ziemi a Ziemia wokół Słońca. I przypadkiem wie jak wziąść się do obliczeń, bo przypadkiem ma trochę wolnego czasu. No i powstaje „De revolutionibus..."

Teresa Kudelska: Panie profesorze dla pana czym jest historia: zbiorem faktów czy ciągiem logicznych wydarzeń w których od czasu do czasu bierze udział przypadek?

Władysław A. Serczyk: Po pierwsze: dla mnie historia jest treścią mojego życia i ja bez historii, bez zanurzania się w historii, bez zajmowania się historią, po prostu, tego życia sobie nie wyobrażam. A jednocześnie historia jest dla mnie nauczycielką pokory, dlatego, że już wielokrotnie tak bywało, że o przeszłości, o jakimś fragmencie przeszłości wiem bardzo dużo. A potem nagle przychodziła chwila refleksji, chęć spojrzenia na to samo wydarzenie, które znałem już dawno - z innej strony, z innego punktu widzenia. I okazało się, że ukrywa ono przede mną treści których nawet nie przypuszczałem. Pyta pani czy jest to dla mnie zbiór faktów? No chyba jest to zbiór faktów ale... może inaczej, jest to zbiór mojej, stale poszerzającej się ułomnej wciąż, przecież wiedzy o faktach, które miały miejsce w przeszłości.

Teresa Kudelska: Co pana fascynuje tak bardzo w przebiegach historycznych?

Władysław A. Serczyk: Ludzie. Dla mnie historia to są po prostu ludzie którzy byli w przeszłości, których potrafię sobie wyobrazić, których staram się sobie wyobrazić na podstawie tego co napisali, co napisali inni o nich, powiedzieli, co inni zanotowali, jak wyglądali, czym się kierowali ubierając tak a nie inaczej, dlaczego wiązali się z jednymi a odrzucali drugich, To jest wie pani, takie połączenie nauki, połączenie, bo ja wiem takiego właśnie uczonego grzebania się w przeszłości, wykorzystywania całego mądrego aparatu historycznego. Przecież my też dysponujemy jakimiś tam wielce wyszukanymi narzędziami postępowania. I jest to połączenie tego wszystkiego takim typowym plotkarstwem, że człowiek chciałby tam wleźć i jeszcze czegoś się dowiedzieć. A ta pani ładna była i żyła tylko z tym? A ten człowiek o którym mówią, że miał tyle nałożnic, a któreż to one nimi były i cóż w nim było takiego, że przyciągało tak znakomite damy. Mogły wybierać a jednak poszły za tym panem. Ale przecież nie tylko o sprawy alkowy chodzi w historii, chociaż one ze zrozumiałych względów bywają najciekawsze. Wiadomo, że najciekawsze rzeczy w telewizji dzieją się po północy. Ale jest jeszcze jedna rzecz, która mnie w historii fascynuje. I to jest jak gdyby ostrzeżenie dla wszystkich amatorów, którzy by chcieli zajmować się historią. Widzi pani - zajmowanie się historią jest nieustannym badaniem przebiegu jakichś wydarzeń. To jest nieustanne ocenianie postaci, które w wydarzeniach biorą udział. I wyrokowanie o nich. W normalnym procesie, jest prokurator ale jest i adwokat. W prawie anglosaskim jest jeszcze ława przysięgłych i dopiero sędzia. I jest wreszcie ten egzekutor w razie potrzeby, kat czy strażnik więzienny, naczelnik więzienia. Historyk jest wszystkim. I właśnie ta cała aparatura, obudowa naukowa, wreszcie rzetelność która musi tutaj istnieć powoduje, że wierzymy komuś, kto jednocześnie jest prokuratorem, obrońcą, sędzią, jednocześnie ten wyrok wykonuje i nie ma od tego wyroku odwołania. Jest to wyrok (strasznie) bezapelacyjny. Po jakichś 50-70 latach znajdzie się następny historyk, który zechce raz jeszcze podejść do tej kwestii która została zbadana i powie: słuchajcie to przecież było inaczej...

● Serczyk w swoich dociekaniach nie opuszcza żadnej okazji dającej szansę nowego, szerszego spojrzenia na interesujący go problem, choćby był to właśnie problem czystości kozackich głów. Czytelnik nabiera zaufania do takiego historyka. Serczyka nie interesuje jego peregrynacja, jak wyglądała broń stepowych watażków czy technika walki oraz ubiór, przynajmniej nie tylko wyłącznie to, ale także ich życie codzienne, pijatyki i bijatyki, hulanki i zbójeckie zapędy. Wychodzi bowiem z założenia, że dopiero maksymalnie panoramiczny opis życia danego społeczeństwa, wraz z jego blaskami i cieniami, może czytelnikowi przybliżyć wiarygodny obraz, któremu da wiarę. A tym samym da wiarę historykowi. Ten zaś uwiarygodni historię. Nie ma u Serczyka chyba żadnego dialogu, który nie wspierałby się korespondencją, zapiskami pamiętnikarskimi, rejestracją w listach dyplomatycznych. Operowanie zaś przymiotnikami jest niczym innym jak uatrakcyjnieniem przekazu...

Janusz Niczyporowicz, Historia z weną [w:] Zbliżenia, Białystok 1990, s. 206.

Teresa Kudelska: Profesor Władysław Serczyk - historyk, literat? Jak rozstrzygnąć to pytanie?

Waldemar Smaszcz: Mnie interesuje przede wszystkim literacki wymiar tego co robi profesor Serczyk. Oczywiście, historia to nauka, to dyscyplina naukowa, obowiazuje rygor naukowy i metodologia, niemniej jednak są takie polskie tradycje, że byli wielcy historycy i wielcy pisarze historyczni. Profesor Serczyk pochodzi z Galicji a w Galicji od czasów klęski Wiosny Ludów, wielu pisarzy przeszło do historiografii. Być może ten duch Galicji też gdzieś w tej twórczości istnieje, przecież tam tworzył Karol Szajnocha, autor niezwykłej książki „Jadwiga i Jagiełło". Myślę, że tradycje dziewiętnastowieczne były jeszcze szersze, Askenazy i jego chociażby książka o Józefie Poniatowskim. To były książki znakomite pod względem historycznym, a bardzo atrakcyjne także pod względem literatury. I ten wymiar twórczości pisarstwa profesora Serczyka wydaje mi się najbardziej interesujący.

Teresa Kudelska: Jest to historia żywa...

Waldemar Smaszcz: Tak, to coś niezwykłego. Kiedy profesor Serczyk pisze czy. to o kozakach, czy o wielkich carach Rosji, to się okazuje, że interesują go nie tylko fakty, te które miały miejsce na pewno, ale co ci ludzie czuli, co myśleli...

Teresa Kudelska: Nie tylko co robili?

Waldemar Smaszcz: Absolutnie, jest to ich życie duchowe, równie ważne, powiedziałbym nawet na pierwszy plan się wysuwające. To są żywi ludzie, mało tego, nie tylko to mówię poprzez fakty historyczne. Mam np. przed sobą książkę „ Na dalekiej Ukrainie", początek tej książki to cytaty z „Marii" Malczewskiego, z Goszczyńskiego, Józefa Bogdana Zaleskiego.

Teresa Kudelska: A więc świetny humanista?

Waldemar Smaszcz: To jest cała literatura romantyczna. I poprzez to widzenie Ukrainy, profesor pisze o swoim widzeniu Ukrainy i może tylko króciutki cytat z książki: „Na dalekiej Ukrainie". Przed laty, prawy brzeg Dniepru, wysoki, stromy i z pozoru niedostępny otwierał się niekiedy przed płynącymi łodzią wędrowcami mrocznym jarem prowadzącym w gestwinę zarośli. Kryły one niejeden sekret a chylone w pełnym zaciekawienia skłonie drzewa, drapieżnie uczepione spadzistych ścian, mogłyby zapewne wiele opowiedzieć o rozgrywajacym się tu wydarzeniu".

Teresa Kudelska: Wychowanek Sienkiewicza?

Waldemar Smaszcz: To tak jakby pisał Henryk Sienkiewicz. Także myślę, że jest to świadomie wpisane w tradycję literacką czyli mielibyśmy taką sytuację szczególną, kiedy cały warsztat naukowy historyka, jego precyzja, wiadomości źródłowe współgrają z talentem literackim.

Teresa Kudelska: Dusza poety?

Waldemar Smaszcz: Esej, to wiedza można powiedzieć ściśle naukowa, ale i barwność literacka. Tak widzę to co pisze profesor Serczyk.

Teresa Kudelska: Zatem pytanie: naukowiec - teoretyk czy literat pozostaje nierozstrzygnięte...

Waldemar Smaszcz: Ja myślę, że nie musi tu być sprzeczności. Źle się stało, że nauka stała się oschła, że sprowadziła się tylko do precyzji komputerowej. Na szczęście można o wydarzeniach, które miały miejsce często dyskutować wszak - potrafi profesor znaleźć coś własnego. I co jest jeszcze istotne, może na jednym przykładzie choćby to pokazać: profesor jest autorem książki o Katarzynie II. No, to chyba najbardziej barwna postać, dla nas okrutna - to ta która dzieliła Polskę. Jeżeli by ten temat stał się przedmiotem zainteresowania publicysty czy tylko pisarza, myślę, że wtedy cała strona sensacyjna tutaj by dominowała. Dzięki temu, że tę książkę napisał historyk, to zachował pewną trzeźwość w stosunku do ogromnie przesadzo-

nych legend i pewnych urazów. No bo w Polsce urazy mogły decydować. Otrzymaliśmy książkę atrakcyjną, barwną a jednak nie przesadzoną. Nie jest to, powiedzmy hoływoodzka wersja Katarzyny II a historyczna wersja w bardzo atrakcyjnej szacie językowej. I co jest zdumiewające, myślę że o tym trzeba koniecznie powiedzieć, proszę sobie wyobrazić, że ta Katarzyna wznawiana była, i to wznowienie to 100 tys. egz. nakładu. Myślę, że żadna książka naukowa takiego nakładu by mieć nie mogła. I ona rozeszła się błyskawicznie.

Teresa Kudelska: Zatem sumując naszą rozmowę, można powiedzieć, że z warsztatu naukowca i z warsztatu literata wziął profesor Serczyk to co najlepsze. Daje to urokliwy melanż.

Waldemar Smaszcz: Bardzo, czego życzyłoby się wielu historykom, żeby chcieli ich czytać. Profesora Serczyka chcemy czytać.

●● Czy pisarza - historyka nie ma prawa zaświerzbić pióro? Czy nie może on zatęsknić za „dobrodziejstwem" fikcji? Jego prawo, czytelnik musi być uprzedzony o tych zamiarach. Dlatego też Serczyk „Iwana Groźnego" zaczyna słowami: „Zacznijmy naszą opowieść o życiu i dziele wielkiego księcia i cara moskiewskiego Iwana IV Wasylewicza...".

I teraz autor ma jakby rozwiązane ręce. Pomiędzy fakty i chronologię wydarzeń może włożyć własne, subiektywne przemyślenia wypowiadane ustami postaci. Jest to bowiem opowieść. I Serczyk nie przepuszcza takiej okazji. Opisuje śmierć Iwana: "Chorego męczyły koszmary, budził się w nocy. Krzyczał, trwożąc straże. Nieraz zamykał się w komnacie nie dopuszczając nikogo do siebie, kiedy indziej szukał towarzystwa i udawał, że czuje się wyśmienicie, chociaż cierpienie wykrzywiało mu twarz.

Na kilka dni przed śmiercią kazał zaprowadzić się do skarbca. Z wyraźną przyjemnością oglądał nagromadzone kosztowności przesypując je sobie przez palce. Nagle zagarnął ze stołu kilka turkusów i zwracając się do jednej z towarzyszących mu osób powiedział: - Spójrz! Turkusy zmieniają kolor, blednieją. Oznacza to, że zostałem otruty. Te kamienie przepowiadają moją śmierć. Chwycił następnie berło wykonane rzekomo z kości jednorożca, a w rzeczywistości z kła narwala. Miało ono posiadać wiele cudownych właściwości. Teraz zamierzał wykorzystać jedną z nich. Przekazał berło lekarzowi, który narysował nim koło na stole, a wewnątrz niego umieścił kilka pająków. Świadkowie tego widowiska z przerażeniem ujrzeli, iż po chwili wszystkie pająki zdechły. - Już za późno. Nawet jednorożec nie zdoła mnie uratować - powiedział Iwan. Zasłabł wstrząśnięty tym co zobaczył".

Talent literacki Władysława Andrzeja Serczyka jest oczywisty. Przyznał się zresztą kiedyś, że zawsze musi mieć pod ręką choćby skrawek papieru i coś do pisania. Oto, taka nieszkodliwa mania.

Sądzę, że należy do nielicznego grona historyków, którzy potrafią wznieść się na wyżyny literatury i sprzedać swoją wiedzę nie wedle zasady: wszystko co wiem, ale wedle profesorskiej reguły: to, co wiedzieć należy.

Janusz Niczyporowicz, Historia z weną [w:] Zbliżenia, Białystok 1990, s. 208-209.

Teresa Kudelska: Panie profesorze, jest pan szczególnym rodzajem historyka. Zajmuje się Pan historią naukową, pisząc książki historyczne, które czyta się jak fascynujące powieści, tak jak gdyby w prostej linii był pan potomkiem Sienkiewicza.

Władysław A. Serczyk: No, dziękuję (śmiech). Ale wie pani, jest to świadomy wybór, dlatego, że rzecz jasna można, ja zresztą to często studentom powtarzam, że można pisać zamiast przewaga - preponderancja, przybliżenie - aproksymacja, itd. I czynić swoje książki absolutnie naukowymi, tzn. nie do strawienia przez profanów, ale przecież historia ma odgrywać pewną rolę społeczną. I wracamy do tego punktu od którego zaczęliśmy, że historia jest nauczycielką życia. Historia nie może niczego nauczyć, jeśli będzie niedostępna dla społeczeństwa, bo historia ma uczyć społeczeństwo, a nie uczonych. Dlatego, ja jestem historykiem wywodzącym się nie tylko ze szkoły krakowskiej jako określonego systemu poglądów na przeszłość Polski ale historykiem wywodzącym się ze szkoły krakowskiej, bezpośrednim spadkobiercą tych ludzi, którzy pisali dla wszystkich. Przecież Szujski, Bobrzyński, oni pisali historię Polski uczoną ale to była historia Polski czytana przez wszystkich. Poza tym, jest coś co się nazywa ponoć pisarskim temperamentem. Widzi pani, moja pierwsza książka, która została opublikowana, nie powiem przed ilu laty, nosiła tytuł: „Gospodarstwo magnackie w województwie podolskim w drugiej połowie XVIII w.". No, przecież kiedy czyta się tytuł, to już się zasypia. Powstało jeszcze parę rozpraw o charakterze przyczynkarskim do dziejów gospodarczych, ogromnie uczone rozprawy dotyczące gospodarstwa magnackiego, folwarku, chłopów pańszczyźnianych, czynszowych, komorników, parowych, sprzężających i nie sprzężających, ale w pewnym momencie zaczęło to mnie potwornie nudzić. Tamta praca okazała się tak znakomita, że na Uniwersytecie Jagiellońskim przyznano mi za nią doktorat, po czym przeszedłem w zajmowanie się ludźmi a nie czystą gospodarką. No i kiedy mówię, psia kość, jest taka hajdamaczczyzna, koliszczyzna, jak tam rżnęli polską szlachtę w Humaniu, to by była świetna habilitacja. Na co koledzy, moi uczeni w Krakowie, powiedzieli, że - słuchaj nie masz się po co zajmować, bo ci nawet tego nie wydadzą, ani do tych archiwaliów nie dojdziesz. Byłem przekorny i kiedy powiedzieli, że nic ci z tego nie wyjdzie - postanowiłem - a ja wam pokażę. I po pięciu latach wyszła drukiem książka pt. „Koliszczyzna", za którą Uniwersytet Jagielloński przyznał mi stopień doktora habilitowanego. No, a potem to już poszło...

Teresa Kudelska: Mówią powieściopisarze, że czasem ich bohaterowie zaczynają nimi rządzić. Czy na przykład Katarzyna II podpowiadała panu, jak ma wyglądać książka o niej?

Władysław A. Serczyk: Katarzyna II nie, ale wie pani, w bardzo szczególny sposób pisałem książkę o Piotrze I. To było około 20 lat temu, pojechałem wtedy do Leningradu i postanowiłem sobie, że nie pojadę do Leningradu tylko do Sankt Petersburga, jakim go w 1703 roku stworzył Piotr I, że będę patrzył tylko na to, co zachowało się z lat 1703-1725, tzn. od momentu postawienia pierwszego domku do chwili śmierci Piotra I. I udało im się. Ja przecież te dwa miesiące siedziałem w Sankt Petersburgu właśnie i w zbiorach Akademii Nauk na Wyspie Aleksandrowskiej i w Ermitażu, i w Muzeum Rosyjskim i - nagle zacząłem żyć po prostu w Petersburgu Piotra I. Bez przerwy myślałem kategoriami epoki piotrowej. I tam zacząłem pisać tę książkę. I książkę tę może dlatego bardzo lubię, że ona jest jak gdyby pisana w epoce piotrowej.

Teresa Kudelska: Wydaje mi się, że oprócz tego, że potrafi Pan barwnie, po malarsku przedstawiać klimat epoki, zawsze interesuje Pana co bohaterowie historyczni myśleli.

Władysław A. Serczyk: Powiedziałbym, że chwyciła mnie pani na mojej słabości, dlatego że jako historyk nie powinienem się do tego przyznawać. Ja zresztą nigdy tego nie piszę,

unikam tego jak ognia „co kto myślał wtedy". „Co myślał" ja nie wiem ale chciałbym wiedzieć, to prawda. Natomiast, jeśli z moich książek można się domyślać, jeśli z opisu wydarzeń, zacytowanych powiedzeń, można odnaleźć źródło historyczne z którego wynika coś takiego, że ktoś coś pomyślał - to jest punkt dla mnie.

Teresa Kudelska: Panie profesorze, czy historia ma swoją poezję?

Władysław A. Serczyk: Tak. Moje rozumienie poezji jest szczególne, tj. takie jak powinno się rozumieć sztukę. Obraz nie musi być podobny do rzeczywistości ale musi na siebie jakoś oddziaływać. Ja chcę, żeby poezja mnie wzruszała. Historia mnie wzrusza. Są fragmenty w historii, o których nie potrafię mówić normalnie, bez ściśnięcia gardła - jakieś fragmenty ludzkiego oddania, bohaterstwa czy nawet zwykłej, rozpaczliwej czułości. Po prostu, wydaje mi się, że człowiek jest wtedy uchwycony przeze mnie, trochę się wtedy tego wstydzę, że jest uchwycony przeze mnie w jakimś bardzo intymnym momencie. Że ktoś zapłakał, że ktoś okazał się istotą słabą - i ta istota zdawałoby się słaba, nagle staje się mocna, twarda, ponad swoją miarę jak gdyby czy to nie jest poezja?

Do druku podał J. L.

Artur Julian KOWZAN

Profesor Władysław Andrzej

Czterdzieści lat minęło... ale nie jak jeden dzień. Byłem wówczas studentem nauk historycznych na UMCS w Lublinie. Pośród grona naszych kochanych profesorów ze wzruszeniem, pietyzmem, — wspominam Profesora Juliusza Willaume, człowieka wielce prawego, wielkiego Polaka; Profesora Józefa Garbacika — pierwszego Dziekana Wydziału Humanistycznego. O, mógłbym mnożyć imiona i nazwiska tych cudownych profesorów nie tylko z historii czy polonistyki. Tych prawdziwych luminarzy wiedzy! W tym moim serdecznym, osobistym wspomnieniu pragnę zatrzymać się przy Kol. Władysławie Andrzeju... obecnie zasłużonym wielce dla nauki i Ojczyzny — Profesorze Rektorze Serczyku. Od pierwszych dni poznania tego sympatycznego, „dobrze ułożonego Krakusa" — byłem szczęśliwy. Oto w atmosferze podejrzliwości politycznej w latach stalinowskich, w ciągłym strachu, zagrożeniu ze strony różnej maści donosicieli, On — wnosił przedziwną pogodę ducha, atmosferę swobody w dyskusjach. Wielu z nas z oczywistych względów przynależało do ZMP, ale dla Władka był to środek, metoda do skutecznego działania, ukazywania prawdy historycznej. Owszem, on i inni narażali się, ale otwierano oczy wielu ślepcom m.in. na prawdę historyczną o roli pułków smoleńskich pod Grunwaldem, prawdę o BCh i AK czy kwestię odzyskania niepodległości przez Polskę. Drogi czytelniku, pragnę też przypomnieć, że bywały przesłuchania studentów na ubecji. Ba, aresztowania. Tak więc Andrzej (to imię częściej wymawialiśmy) był niejako promykiem słonecznym na pochmurnym niebie tamtych czasów. Na zebraniach, spotkaniach naukowych, organizacyjno-młodzieżowych, towarzyskich — był zawsze zrównoważony, czasami dowcipny i bardzo, a bardzo elokwentny. Po prostu wyczuwało się innego człowieka w każdym calu na tle braci chłopsko-robotniczej. Ale zawsze koleżeński, zawsze elegancki. Niektórym z pozoru wydawało się, że Andrzej to jakiś bawi-damek. Nic z tych rzeczy. Andrzej zaglądał i do akademika żeńskiego, ale dla psychicznego odprężenia i wymiany poglądów — tak jak z wieloma kolegami. Jego żarty, dowcipy były inne wobec koleżanek, a inne wobec braci męskiej. Pamiętam, że stronił od osób z tzw. płycizną umysłową, od dużych pijaństw. Tak, sam za kołnierz nie wylewał, ale wszystko musiało mieć umiar, odpowiedni czas i przyczynę. W tamtych czasach pozwalaliśmy sobie na coś dobrego przed zabawą, balem studenckim, w czasie imienin czy też po zdaniu cięższego egzaminu. Ale podkreślam — wszystko było z umiarem! Andrzej jako, że był człowiekiem towarzyskim — związał się wkrótce z zespołem wokalnym, którego duszą i organizatorem była kol. Anna Czarnecka z polonistyki. Pamiętam, że poza mną i Andrzejem, w tym zespole był kol. Stasiu Szopa oraz koleżanki z polonistyki: Krystyna Szabelska i Elżbieta Grosser — zwaną Żuńką. Przy fortepianie — kol. Marta Winiarska. Boże, ileż to piosneczek ludowych, pieśni patriotycznych — prezentowaliśmy na przeróżnych uroczystościach uczelnianych, na terenie miasta i na lubelskich wsiach, — w ramach tzw. „sojuszu robotniczo-chłopskiego" czy też jak się mówiło: „łączności miasta ze wsią". No w takich sytuacjach naszym impresariem był ktoś z zagorzałych ZMP-wców. Chcę z całym naciskiem wyznać, iż w naszym repertuarze nie było bzdurnych pieśni „świetlanych czasów". Od czasu do czasu braliśmy się za melodie ukochane tj. operetkowe, piosenki lat międzywojennych. Cenzura nie dopuściła do wyśpiewania publicznego tego co nasze serca kochały. Dla mnie współpraca z tym miłym sextetem była rozkoszą, ponieważ w chórze uczelnianym wykonywaliśmy tylko pieśni radzieckie i wojenne. Do końca życia nie zapomnę tych ślicznych, przemiłych dla ucha i serca piosenek, które zapewne i Pan Profesor Rektor czasami nuci. Zwłaszcza teraz na swój szczególny jubileusz — sześćdziesiątego roku życia. Jedna z piosenek była żartobliwa, mówiła o zakochaniu Żerania w Warszawie, ale na przeszkodzie stała Praga, która była zazdrosna o ten Żerań. Piosenka zaczynała się tak:

„Raz w Warszawie zakochał się Żerań
i nad Wisłą powiedział jej wprost:
Ja bez ciebie najdroższa umieram,
kiedy złączy nas metro i most?"

Tak, stolicę, Warszawę połączył niejeden most z Pragą, Żeraniem, ale było i jest gorzej z metrem.

Inna piosneczka była liryczna, dla zakochanych. A zaczynała się tak:

„Już od rana się włóczymy po Warszawie moja miła,
ulicami, uliczkami wędrujemy z kąta w kąt.
Tyle miałem ci powiedzieć w naszej sprawie moja miła...
powiedziałem chociaż słowo, powiedziałem?...
Ależ skąd!

Muszę wyznać ze skruchą, że bardzo pokochałem piosenkę rosyjską, którą też pierwszy raz wykonałem w duecie z kol.

Anią Czarnecką. Jest w niej o wiośnie, bzach i miłości. Tak się zaczynała:

„Na domów cień, na ulic kurz — opada nocna mgła
i miasto w jednej chwili już powodzią świateł gra.
A oddech wiosny wzdłuż i wszerz kraj przebiegł w kilka chwil.
Kochana moja, jeśli chcesz — umówmy się na dziś".

Z początkiem roku 1955 Władysław Andrzej przeniósł się na dalsze studia do swojego rodzinnego Krakowa — na Uniwersytet Jagielloński. Wkrótce zmarł mój pracowity ojciec, zagnębiony podatkami (był znanym, cenionym rzemieślnikiem). Być może z naszym odejściem z zespołu, jego żywot się skończył. No, na wspomnienie tamtej „perełki" — dusza płonie, serce drży. Nie tylko we mnie, ale u wszystkich z nas, którzy przetrwaliśmy ciemności lat pięćdziesiątych.

Ps. Artur Julian Kowzan, nauczyciel, autor tomiku: „Pożary i zgliszcza Białegostoku — rok 1944"

Maria MARANDA

Białystok, 12 października 1995 r.

Podlasiak z miłosnego wyboru

To zapewne podczas jednej z wędrówek Profesora po kraju nastąpiło zauroczenie Podlasiem i Białymstokiem. A dla nas wszystkich dobrze się stało, że profesor Władysław Andrzej Serczyk z Małżonką zostawili Kraków i postanowili osiedlić się tutaj, w Gajówce-Majówce, nieopodal Białegostoku. Szczycę się tym, iż mogłam zaznajomić się z Profesorem bez mała od pierwszych dni jego pobytu na Podlasiu. Urzekła mnie jego nieprzeciętna osobowość, temperament w słowie i postępowaniu. Szczególny dar bezpośredniości Profesora sprawił, iż bez żenady można było z nim gorąco dyskutować i spierać się o wszystko - że zbyt mało wszyscy wykorzystujemy wielokulturową specyfikę Białostocczyzny, - że jesteśmy w swych wzorach i ocenach nadal za bardzo małostkowi, - że każdy dużej miary talent musi mieć siłę wybicia się, a wreszcie, że właśnie tutaj może być najwięcej „zdrowej" żywności, czy dobrej książki krajoznawczej. Od początku naszej znajomości zdumiewała mnie, ogromna siła twórcza oraz energia, z jaką zabierał się do każdej sprawy, problemu - czy to mniejszej, czy wielkiej wagi. I realizował to! Otwarcie i szczerze (aż do bólu!) o najbliższych mu sprawach pisarstwa, problemach środowiska literackiego - i chwała Profesorowi za to, iż dziś Oddział Związku Literatów Polskich w Białymstoku wkroczył mocniej w kolejny rok swego działania. Jego sposób obcowania z książką i wszelkimi źródłami wiedzy jest godny naśladownictwa, budzi szacunek. Każdy Jubileusz skłania do refleksji, uroczystego akcentowania. Ja tylko proszę, aby Panu Profesorowi nie zabrakło nigdy ochoty i sił na realizację tych wielkich zamiarów, do jakich nieustannie inspiruje go Podlasie, Ziemia Białostocka. Życzę jednocześnie, aby w realizacji wszystkich planów miał wokół siebie jak największe grono sojuszników i przyjaciół.

Wszystkiego najlepszego, Panie Profesorze!

Władysław A. Serczyk; Maria Różycka-Glasowa: Recenzja książki W. A. Serczyka - Gospodarstwo magnackie w województwie podolskim w drugiej połowie XVIII wieku (fragm.) (KWART. HIST. R. 73:1966, nr 3)

Praca W. A. Serczyka jest pierwszym w polskiej literaturze opracowaniem z zakresu historii dóbr magnackich w woj. podolskim w II połowie XVIII w. W oparciu o bogate źródła archiwalne Autor analizuje towarowość gospodarstwa magnackiego, mającego na terenie województwa podolskiego w badanym okresie najpoważniejsze znaczenie. (...) Autor zajmuje się okresem od połowy XVIII w. kiedy to zakończyło się nasilenie kolonizacyjne tych terenów, a gospodarka została odbudowana po okresie wojen. Kończy natomiast na 1793 r., czyli na II rozbiorze Polski. (...) Praca W. A. Serczyka napisana jest jasno i zwięźle, stawia wiele ciekawych problemów. Należy ją przyjąć z dużym zainteresowaniem.

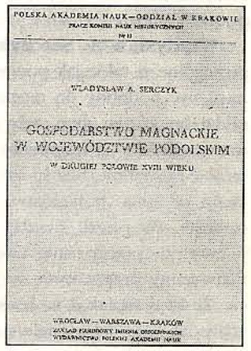

Ludwik Bazylow
Za porohami Dniepru (fragm.).
(Nowe Książki R. 36:1984, nr 11)

Warto brać przykład z prof. Serczyka. Pracowitość połączona z talentem (można to ujmować też odwrotnie) wydają owoc za owocem. Do długiego już szeregu syntetycznych i biograficznych opracowań z zakresu historii Ukrainy i Rosji, cieszących się niezmiennie zainteresowaniem i powodzeniem (o czym m. in. świadczą kolejne wydania) dołącza się obecnie historia Kozaczyzny do roku 1648. Zasługuje ta najnowsza książka na uwagę z wielu przyczyn, przede wszystkim zaś dlatego, że przedstawia niezwykle złożony krąg zagadnień i procesów, które przez dwieście z górą lat rozgrywały się na południowo-wschodnich terytoriach Rzeczypospolitej. (...) Pisano stosunkowo wiele o Kozaczyźnie zarówno w Polsce jak też w Rosji, mniej w okresie radzieckim. (...) Takiej książki o Kozakach zaporoskich jeszcze nie było. Jest w niej i geneza, i rozwój, i polityka, a więc stosunek do Rzeczypospolitej: z jednej strony powstania zbrojne, z drugiej współdziałanie militarne. Jest i to, co dziś czytelników najbardziej ciekawi i do czego z największą pasją się garną - życie codzienne. (...) Z realistycznymi ocenami spotykamy się na każdym kroku. (...) Niezależnie od wszystkiego, autor jest trochę zakochany w tej swojej Kozaczyźnie; najważniejsze jednak, że nie psuje niczego ckliwość, bo jej nie ma.

Pisząc o przeszłości Ukrainy i Kozaczyzny, nie można chociaż w jednym zdaniu nie wspomnieć o „Ogniem i mieczem". Jest taki fragment na stronie 11. „Do dzisiaj przeszłość Ukrainy i Kozaczyzny wywołuje z pamięci obrazy wydarzeń i postaci zawarte w „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza. Jest to spojrzenie bardzo jednostronne, chociaż o niespotykanej gdzie indziej plastyczności i barwności. Tymczasem rzeczywistość była zgoła inna". Oddał więc hołd naszemu wielkiemu pisarzowi, mocno przy tym podkreślając jednostronność ujęć. (...) Historię Kozaczyzny, która ukształtowała się na terytorium dawnej Rzeczypospolitej, kończy autor na roku 1648. W związku z tym uznał za stosowne trochę się usprawiedliwić i niemal przeprasza, że opisywane dzieje „urwały się nagle, może zbyt raptownie". Myślę, że nie musiał - nie trzeba fetyszyzować periodyzacji, każdy autor ma prawo do odtwarzania nawet dowolnych okresów; zresztą rok 1648 nie jest złą cezurą.

DEDYKOWANE JUBILATOM

Ks. Tadeusz KRAHEL

Szkolnictwo kościelne w diecezji wileńskiej do 1795r

Diecezja wileńska była najstarszą diecezją litewską. Powstała w początkach chrystianizacji Litwy za czasów króla Władysława Jagiełły, który to biskupstwo uposażył (1387), a papież na jego prośbę erygował (1388). Do upadku Rzeczypospolitej diecezja ta była największą i najważniejszą w Wielkim Księstwie Litewskim. Obejmowała większą część Litwy właściwej, olbrzymie terytoria ruskie i północną część należącego do Korony Podlasia: od granic Żmudzi i Prus oraz Biebrzy i Puszczy Białowieskiej na zachodzie aż po granice z Rosją na wschodzie, od Inflant i ziem poza Dźwiną na północy- poza rzekę Prypeć na południu. W tej olbrzymiej diecezji Kościół prowadził szkoły wszystkich szczebli. Zresztą aż do powstania Komisji Edukacji Narodowej w 1773 r. szkolnictwo w Wielkim Księstwie Litewskim było w rękach wspólnot religijnych: Kościoła Rzymsko-Katolickiego, Kościoła Prawosławnego, Kościoła Grecko- Katolickiego, Kościołów reformowanych, a także gmin żydowskich. Najważniejszą rolę odgrywało jednak szkolnictwo Kościoła Rzymsko- Katolickiego, który prowadził szkoły wszystkich stopni, od parafialnych po Akademię Wileńską i miał ich najwięcej. Na to właśnie szkolnictwo Kościoła Rzymsko- Katolickiego w diecezji wileńskiej po upadku Rzeczypospolitej pragnę zwrócić uwagę w syntetycznym zarysie.

Pierwsze szkoły katolickie na Litwie powstały wkrótce po chrzcie Litwy w 1387r. Związane były one z katedrą wileńską, kościołami parafialnymi i klasztorami. Najstarszą szkołą była szkoła katedralna w Wilnie, założona z pewnością zaraz po erygowaniu w 1388r. biskupstwa wileńskiego. Pierwsza wzmianka o niej pochodzi z 1397r. Znajdowała się ona obok katedry w obrębie murów obronnych zamku. Nadania na nią czynili później królowie Kazimierz Jagiellończyk i Zygmunt August. Opiekowała się nią kapituła, która wybierała rektora szkoły.

Kiedy ustanowione zostały w 1523 r. prałatury scholasteria i kantoria, szkołą opiekował się odtąd prałat scholastyk, a prałat kantor miał pieczę nad nauką śpiewu, prowadzoną w tej szkole dla potrzeb nabożeństw katedralnych. Uczniowie tej szkoły tworzyli chór śpiewający psalmy w katedrze. W 1539 r. tych psałterzystów było 12. Ponadto 4 uczniów służyło do Mszy św. Szkoła ta miała co najmniej 3 klasy. Z niej wywodzili się kandydaci do stanu duchownego oraz chętni na dalsze studia w Akademii Krakowskiej lub uczelniach Zachodniej Europy. Po założeniu kolegium jezuickiego w Wilnie szkoła katedralna chwilowo podupadła, lecz nie przestała istnieć.

Najstarsze szkoły parafialne powstały wkótce po założeniu pierwszych parafii, które najpierw fundował król Władysław Jagiełło, a następnie wielki książę Witold. Z zachowanego dokumentu fundacyjnego kościoła w Obolcach z 1387 r. wynika, że król zakładał przy tym kościele także szkołę, skoro dawał uposażenie nie tylko proboszczowi i wikariuszowi, lecz także i „klerykowi", przez którego rozumiało się tego, do którego obowiązków należało nauczanie dzieci. Wymowny jest również dokument tegoż króla z 1389 r. do zarządców dworów wielkoksiążęcych, wymieniający żaków przy kościołach. Potwierdza to istnienie już wówczas szkółek parafialnych.1)

Trudno jest ustalić, jaka była sieć szkół parafialnych w diecezji wileńskiej w początkowym okresie. Jerzy Ochmański oblicza, że w połowie XVI w. było 30 szkół pewnych i 54 domniemanych na około 250 istniejących parafii.

Szkolnictwem parafialnym zajmowały się szczególnie synody diecezjalne. Tak np. synod wileński biskupa Jana z Książąt Litewskich, wydany drukiem w 1528 r., nakładał na proboszczów obowiązek utrzymywania przy każdym kościele szkoły, w której chłopcy od najmłodszych lat kształciliby się i wychowywali w nauce i cnocie. Nauka w tych szkołach miała odbywać się zarówno po litewsku, jak i po polsku. Synody późniejsze również zwracały uwagę na szkoły parafialne, o których niestety, aż do czasów Komisji Edukacji Narodowej trudno coś powiedzieć, gdyż nie było dotąd szczegółowych badań na ten temat. W zachowanych wizytacjach 60 parafii dekanatów: wołkowyskiego, słonimskiego, nieświeskiego i knyszyńskiego odnotowujemy 33 szkoły parafialne 2). W czasie wojen w połowie XVII w. wiele miast i wiosek uległo zupełnemu zniszczeniu i wówczas zdewastowano znaczną ilość kościołów i szkół. Dopiero po odbudowaniu tych miejscowości zorganizowano znowu szkoły. Biskup Konstanty Kazimierz Brzostowski w swoim liście pasterskim z 1710 r. nakazywał proboszczom troskę o szkoły i zakładanie ich tam, gdzie dotąd nie było.

Najwięcej informacji o szkolnictwie parafialnym mamy z czasów Komisji Edukacji Narodowej. W diecezji wileńskiej szczególną troską to szkolnictwo otoczył biskup Ignacy Massalski, który opracował „Przepis dla szkół parafialnych", zatwierdzony w 1774 r. przez wspomnianą Komisję. On też założył w ➡

Wilnie szkołę dla kształcenia nauczycieli do szkół parafialnych. W diecezji wileńskiej w 1777 r. działało 330 szkół parafialnych w 22 dekanatach. Nie znamy jednak danych z pozostałych 4 dekanatów. Czynnikiem hamującym rozwój tego szkolnictwa była niechętna postawa szlachty. Ilość tych szkół zaczęła szybko maleć. W 1782 r. według ustaleń Jana Kurczewskiego było ich 251, natomiast w latach następnych- według obliczeń Ireny Szybiak- ilość szkół przedstawiała się następująco: w 1783 r. było co najmniej 40, w 1786- 18, 1790- 15, 1792- 8. Dane te jednak autorka wzięłą z niekompletnych raportów wizytatorów szkół i spadek ich jest wprost zaskakujący i nieprawdopodobny. Dane bowiem z wizytacji i raportów dziekańskich mówią o większej ilości szkół. Według tych danych w 1788 r. w dekanacie brasławskim było 21 szkół parafialnych (na 26 parafii), w dekanacie knyszyńskim 6 (na 12 parafii), w kupiskim 20 (na 24 parafie), a w 1791 r. 17 z 23 parafii dekanatu świrskiego posiadało szkoły. 3)

Szkoły parafialne liczyły najczęściej po kilkunastu lub kilkudziesięciu uczniów, np. w 1788 r. w Brasławiu było 12 uczniów, w Widzach- 5, w Jeziorosach- 10, w Twereczu- 17, w Kobylniku- 58, w Świrze- 72, w Wojstomiu aż 99, natomiast w Niestaniszkach tylko 1. Uczniowie wywodzili się ze wszystkich stanów społecznych, szlachty, mieszczaństwa i chłopów. Najwięcej było z tych ostatnich. Uczyli się przede wszystkim chłopcy. Pierwszą i jedyną wzmiankę do końca XVIII w. o uczących się w szkole parafialnej dziewczynkach znalazłem w wizytacjach parafii Ilia z 1797 r., gdzie odnotowano, iż w szkole parafialnej uczy się 19 chłopców i 5 dziewcząt. 4) Uczono w języku polskim i litewskim, a z pewnością także i w ruskim, choć w mniejszym stopniu. Jedynie w wizytacji parafii Raków z 1796 r. natrafiłem na wzmiankę o języku ruskim: „Szkółka parafialna polskiego, ruskiego i łacińskiego utrzymuje się języka". 5)

Pierwszą szkołą średnią była omówiona już szkoła katedralna w Wilnie. Prezentowała ona wyższy poziom od szkółek parafialnych i dlatego zaliczam ją do średnich, przynajmniej do przybycia na Litwę jezuitów.

Po założeniu w 1569 r. pierwszego kolegium jezuickiego w Wilnie wiodącą rolę w szkolnictwie średnim na Litwie odgrywał zakon jezuitów, z którym w XVIII w. rywalizowali i toczyli spory pijarzy. Właściwie całe szkolnictwo średnie było w rękach zakonów i zgromadzeń zakonnych. Sami jezuici do 1773 r. prowadzili w Wielkim Księstwie Litewskim kolegia w następujących miejscowościach: w Brześciu Litewskim, Dyneburgu, Grodnie, Iłłukszcie, Kownie Krożach, Mińsku Nieświeżu, Nowogródku, Orszy, Pińsku, Poszawszu, Połocku, Słucku, Wilnie, Witebsku i Żodziszkach. Tylko Brześć, Dyneburg, Iłłukszta, Kroże i Pińsk były poza diecezją wileńską. Z innych zakonów szkoły średnie prowadzili bernardyni (w Traszkunach), dominikanie (w Grodnie, Mereczu, Nowogródku), franciszkanie konwentualni (w Kołtyniach), kanonicy laterańscy (w Słonimie), misjonarze św. Wincentego a Paulo (w Łyskowie), pijarzy (w Lidzie, Poniewieżu, Szczuczynie, Wiłkomierzu). Trzeba również wspomnieć zakon bazylianów, którzy prowadzili szkoły w Borunach i Żyrowicach. Byli oni zakonem wschodniego obrządku, ale w swoich szkołach kształcili nie tylko unicką, ale i łacińską młodzież.

Kolejnym rodzajem szkół były seminaria duchowne, w których przygotowywano kandydatów do kapłaństwa. Powstały one dopiero po Soborze Trydenckim. Pierwsze seminarium duchowne w Wielkim Księstwie Litewskim założył w 1582 r. w Wilnie biskup wileński Jerzy Radziwiłł. Mieściło się ono najpierw w pałacu biskupim i liczyło przeciętnie po kilkunastu alumnów. Do 1652 r. seminarium to prowadzili jezuici. Później opiekowała się nim kapituła katedralna, a przez jakiś czas w XVIII w. także księża komuniści (bartoszkowie). Biskup Ignacy Jakub Massalski w 1765 r. przekazał je w zarząd misjonarzy św. Wincentego a Paulo. Pod ich rządami seminarium to najbardziej się rozwinęło, liczyło po 60 kleryków, nauka trwała 4 lata i należało do najlepszych seminariów w całej Rzeczpospolitej.

Od 1725 r. działało jeszcze w Wilnie seminarium misjonarzy św. Wincentego a Paulo, które najpierw przygotowywało do kapłaństwa tylko misjonarzy, ale od 1744 r. otwarto tu także tzw. seminarium externum dla kształcenia kapłanów diecezjalnych. Misjonarze prowadzili jeszcze seminarium w Iłłukszcie, założone w 1787 r. dzięki fundacji braci Zyberków. Liczyło ono najwyżej po 4 alumnów, a nauka w nim trwała dwa lata. Stąd udawali się do Wilna, by tam w seminarium misjonarskim uzupełnić studia i przygotować się do święceń.

Na szczególną uwagę zasługuje Seminarium Papieskie w Wilnie, zwane też Alumnatem Papieskim. Powstało ono dzięki staraniom Possewina na wzór Collegium Germanicum w Rzymie. Dokument erekcyjny wystawił papież Grzegorz XIII 5 II 1583 r. Miało ono na celu kształcenie Rusinów i „Moskali", liczbę określono na 20, a opiekę zlecono jezuitom. Zdolniejsi alumni mieli przechodzić pełne studia filozoficzno- teologiczne w Akademii Wileńskiej (3 lata filozofii i 4 teologii), mniej zdolni odbywali studia skrócone, w czasie których główny nacisk kładziono na teologię moralną i polemiczną.

Seminarium Papieskie nastawione było na kształcenie innowierców. Obok nielicznych Rusinów i obywateli Państwa Moskiewskiego studiowali w nim Szwedzi, Finowie, Norwegowie, Duńczycy, Węgrzy, Chorwaci, Niemcy, Szkoci, a nawet polscy Tatarzy. Absolwenci nie byli zobowiązani do przyjmowania święceń kapłańskich. Chodziło bowiem o przygotowanie także ludzi świeckich, którzy po studiach wróciliby do swoich krajów i tam pracowaliby dla dobra Kościoła Katolickiego.

Po kasacie jezuitów Seminarium Papieskie przekazano bazylianom. Stan jego jednak coraz bardziej się pogarszał. Upadek Rzeczypospolitej i brak dopływu funduszów z Rzymu pogłębiały trudną sytuację szkoły, którą w 1799 r. zamknięto.

Szczególne miejsce w szkolnictwie Wielkiego Księstwa Litewskiego zajmuje Akademia Wileńska. Powstała ona jako uczelnia kościelna, założona dzięki staraniom biskupa wileńskiego Waleriana Protasiewicza, który sprowadził do Wilna w 1569 r. jezuitów. Założyli oni tu najpierw swoje kolegium, które dzięki staraniom biskupa i poparciu króla Stefana Batorego bullą papieża Grzegorza XIII w 1579 r. zostało podniesione do rangi akademii. Nowa uczelnia początkowo składała się ze studium nauk humanistycznych oraz wydziałów teologicznego i filozoficznego. W 1644 r. otwarto jeszcze wydział prawa.

Akademia szybko się rozwijała, osiągnęła wysoki poziom nauczania i uznanie wśród społeczeństwa Wielkiego Księstwa Litewskiego. Posyłali do niej swoich synów nie tylko katolicy, ale i innowiercy, także możnowładcy litewscy. Liczba uczniów szybko wzrastała, w 1587 r. było już ich ponad 700. Szczególny rozkwit uczelni ma miejsce w pierwszej połowie XVII w. W 1618 r. było 1210 studentów, z których aż 1100 było na studium humanistycznym, a tylko 110 na wydziale teologicznym i filozoficznym. Uniwersytet w tym okresie odegrał dużą rolę w

przezwyciężeniu ruchu reformacyjnego. Bardzo wielu bowiem synów innowierców wróciło do Kościoła Katolickiego. Z uczniów tej uczelni rekrutowało się także dużo jezuitów oraz księży dla diecezji wileńskiej. Wprawdzie od 1582 r. działało już w Wilnie Seminarium Diecezjalne, to jednak na tak dużą diecezję nie mogło ono zapewnić odpowiedniej liczby kapłanów. Jego działalność „uzupełniały przede wszystkim bursy ubogich studentów, istniejące przy Akademii", w których znajdowali mieszkanie biedni kandydaci do kapłaństwa.

Rozkwit uczelni został zahamowany przez najazd moskiewski i okupację Wilna w latach 1656-1661, a później przez niepokoje wewnętrzne i kolejne wojny. Dopiero od 1741 r. Uniwersytet zaczyna powoli dźwigać się z upadku. Wkrótce jednak następuje rozwiązanie zakonu jezuitów i w 1773 r,. uczelnia przechodzi pod zarząd Komisji Edukacji Narodowej. Staje się uczelnią świecką, choć z profesorami w większości duchownymi i po reorganizacji w 1781 r. przyjmuje nazwę Szkoły Głównej Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Podsumowując trzeba powiedzieć, że szkolnictwo kościelne w diecezji wileńskiej przedstawiało się imponująco. Czynniki kościelne prowadziły szkoły wszystkich stopni, od parafialnego, poprzez szkoły średnie (katedralną i kolegia), seminaria duchowne, aż po Uniwersytet Wileński. Wszystkie szkoły służyły nie tylko Kościołowi, ale i całemu społeczeństwu Rzeczypospolitej.

1. Kodeks dyplomatyczny katedry i diecezji wileńskiej. T.1. Wyd. J. Fijałek i W. Semkowicz. Kraków 1948 s. 17-19, 29-30.
2. Bibl. Uniw. Wil. Dział Rękopisów: F 57- B53, 40 Liber visitationis... Anno Domini 1633, 1641, 1645.
3. Bibl. Lit. Akadem. Nauk. Dział Rękopisów: F 43- 7 558 Summa raportu rocznego z dekanatu brasławskiego z roku 1788 fideliter elaboratum; F 43- 10 193 Raport ludności dekanatu knyszyńskiego z roku 1788; Centr. Arch. Hist. Litwy: F 604- 1- 13 468 Raport dekanatu kupiskiego z roku 1788; Bibl. Uniw. Wil.: F 57- B 54- 336 Raport dekanatu świrskiego z roku 1791.
4 Centr. Arch. Hist. Litwy: F 694 - 1 - 3 - 997 Wizyty wilejskago dekanata, k.34.
5 Tamże, k. 1v.
6. Ważniejsza literatura: J. Kurczewski: Biskupstwo wileńskie. Wilno 1912; J. Ochmański: Biskupstwo wileńskie w średniowieczu. Poznań 1972; Tenże: Dawna Litwa. Olsztyn 1986; I. Szybiak: Szkolnictwo Komisji Edukacji Narodowej w Wielkim Księstwie Litewskim. Wrocław 1973; L. Piechnik: Początki Akademii Wileńskiej. Rzym 1984, Rozkwit Akademii Wileńskiej 1600-1655. Rzym 1983, Próby odnowy Akademii Wileńskiej po klęskach potopu i okres kryzysu 1655-1730. Rzym 1987, Odrodzenie Akademii Wileńskiej 1730-1773. Rzym 1990; tenże: Seminaria duchowne w archidiecezji wileńskiej do 1939 r. Studia Teologiczne. T.5-6: 1987-1988 s. 200-231; T. Krahel: Zarys dziejów (archidiecezji wileńskiej. Stud. Teol. T. 5-6: 1987-1988 s. 7-72.

Antoni MIRONOWICZ

Źródła rzymskie do dziejów Cerkwi na Białorusi i Ukrainie w XVII wieku

Źródła do dziejów Cerkwi prawosławnej i unickiej z archiwów i bibliotek watykańskich w znacznej części zostały opublikowane w seriach wydawniczych *Analecta Ordinis S. Basilii Magni* w Rzymie. Materiały te posiadają ogromną wartość poznawczą i ukazują nam mechanizmy polityki wyznaniowej Stolicy Apostolskiej wobec Kościoła prawosławnego w Rzeczypospolitej.

Najcenniejsze informacje posiadają zasoby Archiwum Historycznego Kongregacji Propagandy Wiary w Rzymie *(Archivum S. Congregationis de Propaganda Fide)*. Kongregacja erygowana została jako najwyższy oragan centralny do spraw rozszerzania wiary katolickiej1). Cele te miały zostać osiągnięte poprzez zjednoczenie z Rzymem Kościołów prawosławnych i protestanckich oraz działalność misyjną wśród pogan2). Archiwum Kongregacji gromadzone od początków jej działalności zawiera: relacje z posiedzeń Kongregacji Propagandy Wiary, jej postanowienia i instrukcje, listy nuncjuszy, biskupów i osób świeckich wysyłane i otrzymywane przez Kongregację. Niektóre partie zespołów tego archiwum zawierają całe woluminy dotyczące spraw Kościoła prawosławnego i unickiego w Rzeczypospolitej3).

Najważniejsze zasoby akt znajdują się w następujacych seriach:

● *Acta Sacrae Congregationis* - są podstawowym zespołem Kongregacji, stanowią bowiem kopię protokołów z posiedzeń generalnych, podczas których kardynałowie rozpatrywali między innymi, projekty unii kościelnej i decydowali o stanowisku Rzymu. Seria ta zawiera relacje i orzeczenia kardynałów, inne dokumenty papieskie zawierające dodatkowe noty i komentarze do poruszanych spraw4).

● *Scritture Originali riferite nelle Congregazioni Generali* - zespół ten zawiera dokumanty oryginalne przesyłane do Kongregacji, problematyka których była rozpatrywana na posiedzeniach generalnych. Znajdują się tam listy i posłania biskupów, relacje nuncjuszy, akta synodów, wizytacji apostolskich, wypowiedzi konsultantów do spraw Kościołów wschodnich, projekty unii kościelnych wobec Kościołów w Polsce.

● *Congregazioni Particolari* - w zespole tym przechowywane są dokumentacje z posiedzeń specjalnych komisji Kongregacji, a zwane „Congregationes patriculares". Komisje takie powoływane były przez papieża do szczegółowego rozpatrzenia problemów przez grono kardynałów. Znaczna część materiałów dotyczy projektów unijnych względem Cerkwi prawosławnej w XVII w.

● *Scritture riferite nei Congressi: Moscovia, Polonia, Ruteni* - w tym zespole znalazły się materiały, które ze względu na mniejszą rangę ogólną nie były rozpatrywane na konferencjach

ogólnych a na cotygodniowych zebraniach kardynałów, prefekta Kongregacji, sekretarza i minutantów. Na zebraniach tych rozpatrywane były pisma przysłane do Kongregacji przez biskupów, nuncjuszy, króla i dygnitarzy świeckich i poddawane były wstępnym opracowaniom. Z zespołu *"Scritture riferite nei Congressi"* wyłączono głównie serie dotyczące kolegiów i hospicjów. Dwie z nich **Lettere** i **Instruzioni** posiadają istotne znaczenie dla prezentowanych ustaleń. Seria **Lettere** składa się z listow wysyłanych do osób zainteresowanych a bedących w sferze decyzji podjętych na posiedzeniach generalnych, partykularnych i kongresach Kongregacji. **Instruzioni** powstały jako dokumentacje decyzji Kongregacji na tych posiedzeniach. Seria ta zawiera oryginały i kopie postanowień i instrukcji wysłanych osobom zainteresowanym, głównie nuncjuszom apostolskim. W obu tych seriach znajdujemy szczegółowe zalecenia dla nuncjuszy, biskupów, króla i innych osób świeckich w sprawach unii na terenie Rzeczypospolitej.

● *Fondo di Vienna* - stanowi uzupełnienie serii *"Scritture Originali riferite nelle Congregazioni Generali"* i *" Congregazioni Particolari"*. Wymienione źródła bezpośrednio bądź pośrednio informują nas o stosunku do projektów unijnych nie tylko Stolicy Apostolskiej lecz również dygnitarzy świeckich i duchownych Rzeczypospolitej.

Drugim archiwum rzymskim przechowującym źródła do dziejów Cerkwi jest Archiwum Watykańskie5). Zasoby tego archiwum zostały rozpoznane i wykorzystane w sposób fragmentaryczny. Bogactwo zasobów zbiorów i kolekcji osób prywatnych i instytucji kościelnych (Kongregacji, sekretariatów i innych urzędów watykańskich) pozwoliły posiłkować się w pracy zasobami archiwów *Segreteria di Stato* następujących serii: *Nunziatura Polonia, Nunziatura diverse, Principi, Nunziatura Varsavia*.

Seria *Nunziatura Polonia* - zawiera listy i sprawozdania nuncjuszy apostolskich oraz ich regestry sporządzone w Sekretariacie Stanu. Seria *Nunziatura diverse* skład się z kopii instrukcji, dyspozycji i poleceń wysyłanych do nuncjuszy i innych osób. *Nunziatura Varsovia* skupia sprawozdania i relacje wpływające do Sekretariatu Stanu i różnych kongregacji od nuncjuszy polskich oraz innych osób a dotyczących spraw Kościoła w Rzeczypospolitej. W tych relacjach znajdujemy dużą liczbę woluminów zawierających dokumenty dotyczące Kościoła wschodniego na ziemiach polskich, białoruskich i ukraińskich.

Trzecim zbiorem źródeł rękopiśmiennych są zasoby Biblioteki Watykańskiej6). Szczególnie istotne są zbiory dwóch kolekcji: *Barberiniani Latini i Chigi7)*. Obie kolekcje przechowują materiały archiwalne przedstawicieli rodów Barberini i Chigi pełniących w XVII w. ważne funkcje w kurii rzymskiej8). Na kolekcje składają się listy nuncjuszy apostolskich, polskich królów, książąt, biskupów, dostojników kościelnych i świeckich poruszające problemy Kościołów wschodnich.

Przypisy:

1. Kongregacja Propagandy Wiary została utworzona przez papież Grzegorza XV 6 stycznia 1622 r. Uroczyste ogłoszenie dokumentu erekcyjnego w postaci bulli papieskiej „Inscrutabili divinae providentiae arcano" nastąpiło 22 czerwca 1622 r. Por. w Wydanie bulli papieskiej, *Breviarium missionum*. Wybór dokumentów Kościoła dotyczących dzieła misyjnego. Opr. B. Wodecki, F. Wodecki i F. Zapłata, cz. I, Warszawa 1979, s. 32-37.
2. *O celach i zadaniach Kongregacji J. Metzler, Sacrae Congregationis de Propaganda Fide memoria rerum. 350 anni a servizio delle missioni 1622-1972*, t. I, cz. I (1622-1700), Rom - Freiburg - Wien, 1971, s. 79-111.
3. Szczegółowe omówienie zespołów archiwum Kongregacji Propagandy Wiary w tym również spraw polskich znajduje się w artykule Teresy Zdziech, *Archiwum Historyczne Kongregacji Rozkrzewiania Wiary*, „Informationes. Biuletyn Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych", nr. 3, Rzym - Warszawa 1984 s. 5-50. Podstawowy inwentarz tego archiwum sporządził i opublikował Nicola Kowalsky, *Inventario dell'Archivio storico della S. Congregazione „De Propaganda Fide"*, Schöneck - Beckenried 1961, s. 1-40.
4. T. Zdziech, *Archiwum...*, s. 25-29.
5. *Archivum Secretum Vaticanum* - stanowi centralne archiwum Stolicy Apostolskiej. Założone zostało przez papieża Pawła V (1605-1621) w pałacu watykańskim. H. Foksiński, T. Zdziech *Archivum Secretum Vaticanum*, „Informationes", nr. 1, Rzym - Warszawa 1976, s. 16-51. Za najlepsze przewodniki po zbiorach watykańskich uznano pracę Augusta Finka, *Das Vatikanische Archiv. Einfürung in die Bestände und ihre Erforsch ung, Rom* 1943 i ks. Waleriana Meyszłowicza *Archivi Seceti Vaticani prospectica descriptio in schedis*, Romae 1946.
6. Omówienie zasobów działu rękopisów biblioteki watykańskiej por. H. Foksiński, T. Zdziech, *Biblioteka Apostolica Vaticana*, „Informationes", nr. 2, Rzym - Warszawa 1980, s. 7-27; W. Abraham, *Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich do dziejów Polski w wiekach średnich za lata 1899-1913*, „Archiwum Komisji Historycznej", seria 2, t. I, Kraków 1923, s. 1-65.
7. Kolekcja *Barberiniani Latini* została założona przez kardynała Franciszka Barberini (1597-1679). Zbiór ten powstał jako biblioteka prywatna rodu Barberinich. Zbiory Barberinich zostały odkupione przez papieża Leona XIII w 1902 roku i włączone do zasobów Biblioteki Watykańskiej. Fondo Chigi został założony przez papieża Aleksandra VII (1655-1667). Kolekcja Chigi w zbiorach Biblioteki Watykańskiej znajduje się od 1923 roku. *Acta Nuntiaturae Polonae*, pod red. H. D. Wojtyska, t. I, Romae 1990, s. 61-63.
8. Przedstawiciel rodu Barberinich Maffeo został wyniesiony do godności papieskiej jako Urban VIII (1632-1644). Fabio Chigi był w latach 1651-1655 kardynałem w Kongregacji Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, a następnie został wybrany na papieża (1655-1667), tamże, s. 61-63.

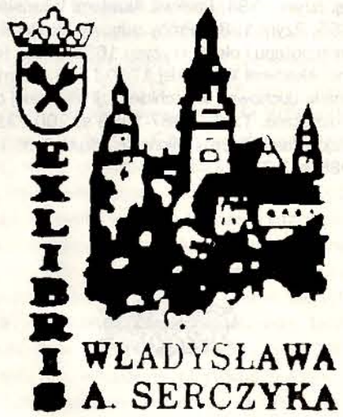

Mieczysław WRZOSEK

Na finiszu takiej sobie kariery zawodowej

Jeżeli pracownik jakiejś instytucji (zakładu) zaczyna się orientować, że jest bez powodu traktowany niesprawiedliwie, czyli gorzej niż jego koledzy, wie dobrze kto mu szkodzi, a potrafi się powodować zdrową ambicją i ma poczucie honoru, to powinien odejść. W takiej sytuacji jako adiunkt resortowego instytutu naukowo- badawczego po raz pierwszy znalazłem się już w styczniu 1970 r. w związku z pominięciem mojej osoby jako kandydata do stanowiska docenta mianowanego, a następnie zimą 1973t., gdy koledzy otrzymali kilkutysięczne premie, mnie zaś przyznano tylko 400 złotych, których nie podjąłem, lecz przekazałem tę kwotę na fundusz nagród za wyróżniane prace magisterskie. Nie zdobyłem się jednak jeszcze na radykalną decyzję i z pracy w tym instytucie nie zrezygnowałem. Postanowiłem to uczynić dopiero 11 października 1973r., skoro dowiedziałem się, że zamiast obiecanej nagrody autorskiej, cofniętej w ostatniej chwili i przyznanej wydawcom innego, świeżo ogłoszonego „dzieła" (Warszawa- Prawa Podmiejska 1942-1944. Z walk PPR, GL-AL. Warszawa 1973), mam otrzymać zaledwie namiastkę zwyczajnej nagrody okolicznościowej i to opiewającej na śmiesznie niską kwotę: pięćset złotych polskich. Tyle samo w tej instytucji pobrał wtedy tylko staruszek portier, zaś moi koledzy dostali po kilkakroć więcej. Z tym pogodzić się już nie mogłem. Zamiast udziału w uroczystej akademii i odbioru tej „hojnej nagrody" wolałem spotkanie, podczas którego omówiłem warunki zatrudnienia u innego pracodawcy, to znaczy w białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego.

Otrzymałem całkiem interesującą propozycję. Miałem objąć stanowisko docenta kontraktowego na podstawie umowy trzyletniej. Nowe stanowisko było lepsze, ale wymagało dojazdów do miasta odległego o 200 kilometrów od miejsca mojego zamieszkania. Objęcie nowej funkcji było uzależnione od trzech opinii naukowych (jak przy habilitacji); przygotowali je dwaj profesorowie zwyczajni (Kazimierz Popiołek i Henryk Zieliński) oraz docent Mieczysław Tanty. Okazały się bardzo pozytywne. Nie zawierały też takich andronów, jakimi zostałem potraktowany w styczniu 1970r. przez pewnego uczonego warszawskiego, gdy opiniując moją kandydaturę do stanowiska docenta mianowanego napisał: „Dorobek ma wprawdzie duży, ale rozproszony i należy zaczekać, aż skoncentruje się na jakiejś kwestii".

Z objęciem stanowiska wiązało się też poważne ryzyko. Wynikało ono z konieczności uzyskania habilitacji w jakże krótkim, trzyletnim terminie. Procedura związana z zatrudnieniem trwała prawie rok i zakończyła się dopiero w drugiej połowie sierpnia 1974r. Zajęcia dydaktyczne prowadziłem jednak już od stycznia, ale ograniczały się one do parogodzinnego konwersatorium, które odbywało się podczas spotkań ze studentami zaocznymi.

Procedurze przejścia na nowe stanowisko towarzyszyły różne przeszkody. Pierwsza wyłoniła się ze strony kierownika Działu Spraw Osobowych białostockiej Filii. Okazało się mianowicie, że gromadził on moje papiery w swoim biurku, ale ich nie przekazywał do Ministerstwa Techniki, Szkolnictwa Wyższego i Nauki, zaś rektorowi, profesorowi Andrzejowi Je-

Promocja doktorska dr Jana Snopko w Uniwersytecie Warszawskim - lipiec 1994 r.

zierskiemu udzielał w mojej sprawie wymijających informacji. Może brał pod uwagę to, że byłem kandydatem bezpartyjnym, a może miał wobec mnie jeszcze inne, jakieś „poważniejsze" zarzuty. Ustąpił dopiero po ostrej interwencji rektora, który zażądał okazania teczki z moimi papierami.

Do ciekawej wymiany poglądów doszło również w instytucji, z którą chciałem się rozstać za obopólną zgodą na przeniesienie służbowe. Moim rozmówcą był profesor Emil Jadziak, człowiek życzliwie usposobiony, ale ostrożny. Po zapoznaniu się z pismem rektora Jezierskiego był bardzo zaskoczony, bo od incydentu związanego z tamtą „hojną nagrodą" upłynęło ponad dziesięć miesięcy. Namyślał się dłuższą chwilę, a potem wyraził zgodę i okazał mi nawet zrozumienie dodając, że sam był również wieloletnim pedagogiem. Za takie podejście do sprawy byłem mu zawsze wdzięczny.

Potem nastąpiły incydenty, które kojarzyły mi się już jako rewanż za dotychczasową poniewierkę. Do pierwszego (innych nie będę wspominał) doszło w dwa dni od rozmowy z profesorem Jadziakiem. Był to incydent zabawny. Nastąpił w pociągu, gdy jechałem z Warszawy do Torunia na XIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Spotkałem wówczas pewnego pana, który w styczniu 1970r. nie opiniował mnie, ale miał prawo uczestnictwa w decyzjach dotyczących mianowanej docentury i wtedy również mi zaszkodził. Teraz, w pociągu, we wrześniu 1974r. uznał, że ma okazję, aby sobie jeszcze zakpić. Nie tając ironii powiedział: „Widzisz, gdybyś został wtedy docentem, to jako uczestnik zjazdu musiałbyś uiścić wyższą składkę wpisowego". W odpowiedzi na to okazałem kopię ministerialnej nominacji na stanowisko docenta Filii, o czym nie wiedział, a potem dodałem, że ma tylko częściowo rację, bowiem docentem jestem, ale wpłaciłem niższą składkę, gdyż udział w zjeździe zgłaszałem jeszcze jako adiunkt. Nie zdobył się już na żadną dowcipną uwagę.

Zacząłem więc występować w roli samodzielnego nauczyciela akademickiego. W ciągu kilku miesięcy przygotowałem, a potem wygłosiłem wykład kursowy poświęcony dziejom Rosji i ZSRR w latach 1801-1960, a ponadto prowadziłem konwersatorium poświęcone dyscyplinie określanej jako „Wstęp do badań historycznych" i przystąpiłem do zajęć seminarium magisterskiego, w którym uczestniczyło 16-tu słuchaczy zaocznych. Przed feriami zimowymi 1975r. dowiedziałem się, że moje obciążenie dydaktyczne jeszcze wzrośnie, ponieważ w semestrze wiosennym tego właśnie roku miałem sprawować zastępczo obowiązki kierownika Zakładu Historii i przystąpić do przygotowania dwóch dodatkowych wykładów kursowych, dotyczących okresu 1764-1848 (jeden z dziejów powszechnych, drugi z historii Polski). Wystąpiłem z nieśmiałym sprzeciwem i stwierdziłem, że nie podołam tym nowym obowiązkom. W odpowiedzi z ust kierownika Zakładu Historii docent Elżbiety Kaczyńskiej padły słowa: „To po coś przyszedł?" Miała rację, nie mogłem zaprzeczyć. Dodatkowe wykłady przeprowadziłem. Nie zapomniałem również o rozprawie habilitacyjnej na temat: „Polskie formacje wojskowe podczas pierwszej wojny światowej 1914-1918". Zostałem więc puszczony na głęboką wodę, a przecież nie utonąłem. Sam już teraz nie wiem, jak temu wszystkiemu podołałem, bo także lubiłem pograć w brydża i w szachy.

Wiosną 1977 r. w dziekanacie Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego przedłożyłem rozprawę habilitacyjną, a w dniu 1 marca 1978r. składałem kollokwium habilitacyjne podczas posiedzenia Rady Wydziału, w którym uczestniczyło 54 profesorów i docentów. Recenzentami rozprawy byli: profesor Marian Zgórniak z Krakowa, profesor Ludwik Bazylow z Warszawy i docent habilitowany Andrzej Brożek z Katowic- podczas kollokwium zastępował go jako egzaminator profesor Andrzej Garlicki. W czasie odpowiedzi polemizowałem z profesorem Bazylowem, ponieważ postawił mi zarzut, że nadmiernie ceniłem sprawność bojową wojsk niemieckich w porównaniu z armią rosyjską, która w Berlinie była dwa razy, a wojska niemieckie do Moskwy nie dotarły. Odpowiedziałem, że armia rosyjska była rzeczywiście w Berlinie, ale tylko jako uczestnik koalicji. Odpowiedź ta spotkała się z ogólną aprobatą obecnych profesorów i za uznaniem kollokwium w głosowaniu tajnym opowiedziały się 52 osoby. Wynik głosowania oznajmił mi dziekan Wydziału Historycznego.

Po habilitacji nastąpiła stabilizacja mojego zatrudnienia, zaś

Z żoną na wczasach w Krynicy Górskiej - wrzesień 1994 r.

obciążenie dydaktyczne zmalało, ponieważ zwiększyła się liczba pracowników Zakładu Historii, który stał się niebawem samodzielnym instytutem. Nie byłem powołany na żadne stanowiska kierownicze i o uzyskanie takich stanowisk nie zabiegałem. Myślałem natomiast o dalszym awansie naukowym.

Moim naukowym aspiracjom awansowym towarzyszyło powodzenie zmienne. Do zagranicznych wyjazdów stypendialnych szczęścia nie miałem. W 1977r. zostałem pozbawiony szans wyjazdu na trzymiesięczne stypendium do Wiednia; sprawa została utrącona prawdopodobnie w rektoracie Uniwersytetu Warszawskiego. Potem, pomimo skierowania przesłanego mi przez profesora Stefana Kieniewicza, nie znalazłem się w gronie uczestników konferencji, która odbywała się nad jeziorem Como w północnych Włoszech i wiem dlaczego tak się stało. Następnie byłem powiadomiony, że nie zostało uwzględnione moje podanie o stypendium fundowane przez Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Jeszcze później kolejny rektor białostockiej Filii nie poparł moich starań o wyjazd do Freiburga nad Renem, chociaż byłem dziekanem i w tej sprawie występowałem kolejno aż cztery razy. Nie uzyskałem nawet zgody władz wschodnioniemieckich na wykorzystanie dokumentów przechowywanych w Merseburgu, ponieważ nie przypadłem do gustu kustoszowi archiwum, to znaczy Frau Konke.

Byłem tylko na jednomiesięcznym wyjeździe stypendialnym w Wiedniu (wrzesień 1987r.). Zawdzięczałem ten wyjazd Panu Profesorowi Andrzejowi Wyczańskiemu i jestem mu za to szczerze wdzięczny. Pobyt ten okazał się bardzo owocny, co potwierdziła długa seria artykułów i publikacji źródłowych, które potem ogłosiłem w różnych czasopismach krajowych. Nie twierdzę natomiast, że równie owocne mogły się okazać także wyjazdy udaremnione.

Sporo zawdzięczam również św. pamięci profesorowi Franciszkowi Hawrankowi z Opola. Latem 1980r. przysłał mi z opolskiego Instytutu Śląskiego propozycję dotyczącą opracowania haseł do Encyklopedii Powstań Śląskich i swój list zakończył zwrotem: „Jeżeli pan tę propozycję zrealizuje, to my wypłacimy honorarium blitzem". Odpowiedziałem na to, że się zgadzam i dodałem: „Jeżeli mi pan wyda książkę o działaniach zbrojnych trzeciego powstania śląskiego na Opolszczyźnie, to ją napiszę też blitzem". Po dwóch tygodniach miałem już na biurku odpowiednią umowę, a wiosną 1981r. pojawiła się moja „profesorska monografia". Rozpoczęło się też niebawem formalne postępowanie w sprawie tytułu profesora nadzwyczajnego. Przebiegało wyjątkowo opieszale, bo nastąpiło zamieszanie spowodowane stanem wojennym i powtarzały się rezygnacje profesora Andrzeja Wyrobisza ze stanowiska dziekana Wydziału Humanistycznego białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Dopiero w 1984r, sprawa ruszyła nieco z miejsca, ale niebawem znowu utknęła i dopiero w dniu 7 lutego 1986r., po pięcioletnich oczekiwaniach, zostałem wezwany do Belwederu, gdzie otrzymałem odpowiedni dokument nominacyjny. Byłem czwartym profesorem nadzwyczajnym z tego rocznika, który w 1949r. rozpoczynał studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim, czwartym po Mieczysławie Tantym, Tadeuszu Łopuszce i Hannie Żarnowskiej. Był to mój duży sukces, bo przecież w 1952r. dosięgły mnie przepisy fatalnej ustawy o studiach dwustopniowych i znalazłem się wówczas w gronie tych, którym odmówiono prawa do magisterium. Taka jest prawda. Stopień magistra w konsekwencji uzyskałem dopiero w sześć lat później, to znaczy w 1958r. Osiągnąłem to jako pracujący eksternista. Byłem uczniem św. pamięci profesora Janusza Wolińskiego i pod jego kierunkiem przygotowałem później rozprawę doktorską- jej obrona nastąpiła w 1967r.

W tym zaś czasie, gdy kończyło się postępowanie związane z przyznaniem mi tytułu profesora, nastąpił wakat na stanowisku dziekana Wydziału Humanistycznego. Sprawa ta wyłoniła się 29 listopada 1985r. po odwołaniu profesora Wyrobisza. Otrzymałem wówczas propozycję dotyczącą objęcia tego stanowiska, ale dałem odpowiedź zdecydowanie odmowną. Podobne propozycje, jak mi wiadomo, otrzymało potem kilkanaście innych osób, ale nie wyraziły one również swojej zgody. Od

mojej decyzji odstąpiłem dopiero po osobistej zachęcie profesora Wyrobisza, który tłumaczył mi, że obowiązki dziekana ktoś przecież pełnić musi. Sprawowałem je od 1 kwietnia 1986r.

Jako dziekan Wydziału Humanistycznego mogłem mieć najwięcej kłopotów w sprawach personalnych, bo na przełomie stycznia i lutego 1987r. miało nastąpić opiniowanie wszystkich polskich nauczycieli akademickich. Z tą sprawą uporałem się ➡

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA HUM.
010447

najszybciej w całym Uniwersytecie Warszawskim i nie dopuściłem do żadnego wniosku o zwolnienie. Do wniosku takiego nie doszło nawet w sprawie doktora Jana Kofmana (obecnie profesora Filii), który był więźniem politycznym. Akcję opiniodawczą przeprowadziłem ku wielkiemu zadowoleniu rektora Uniwersytetu Warszawskiego, nieodżałowanej pamięci Profesora Grzegorza Białkowskiego. Sądzę, że zaskarbiłem sobie też wdzięczność zagrożonych osób. Rektor Białkowski przy okazji tej akcji zapytał mnie, czy będę kandydował w wyborach dziekańskich następnej kadencji. Odpowiedziałem, że nie. Wówczas zapytał wprost: „Czy woli pan być dziekanem z wyboru, czy z nominacji?" Odpowiedziałem, że z wyboru. Uśmiechnął się i stwierdził: „Tak myślałem", a potem powiedział mi pewien komplement, którego jednak nie będę przytaczał, chociaż sprawił mi wielką satysfakcję. Ta satysfakcja wynikała również stąd, że zapewnił ją człowiek tak wspaniały, jak Rektor Białkowski. Przez kilka lat nie można było natomiast wybrnąć z trudności lokalowych, ale wiosną 1990r. udało się uzyskać wspaniały budynek po wojewódzkim komitecie PZPR. W zabiegach związanych z jego przejęciem największe zasługi położył obecny prorektor Uniwersytetu Warszawskiego do Spraw Filii w Białymstoku, czyli profesor Władysław Serczyk. Istotną rolę odegrali również doktor Kazimierz Trzęsicki obecnie profesor i profesor Jerzy Kopania. Przejęcie gmachu nastąpiło w czerwcu 1990r. a więc jeszcze za mojej kadencji dziekańskiej, która trwała do 30 listopada 1990r.

W połowie listopada 1990r. zostałem powiadomiony specjalnym pismem wiceministra Edukacji Narodowej profesora Romana Dudy, że od początku tegoż miesiąca przysługuje mi stanowisko profesora zwyczajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Tę zaszczytną nominację osiągnąłem jako trzecia osoba z grona tych, którzy na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczynali studia historyczne w 1949r. Przede mną byli: Mieczysław Tanty i Tadeusz Łopuszko. Obecnie pełnię znowu funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego i mam prawo zasiadania w Senacie Uniwersytetu Warszawskiego, ale zbliża się już koniec całej mojej skromnej kariery zawodowej. Jeżeli do tego końca dotrwam szczęśliwie, to nastąpi on jesienią 2000-go roku.

Romuald Wojna

O POLSKICH KORPUSACH WOJSKOWYCH W ROSJI W LATACH 1917-1918

Publikacja Mieczysława Wrzoska, poprawiona i uzupełniona wersja jego rozprawy doktorskiej, daje bez wątpienia nowe spojrzenie na dzieje Wojska Polskiego w Rosji podczas I wojny światowej. Autor prezentowanej książki, od lat interesujący się problemami Wojska Polskiego w Rosji w latach rewolucji 1917 r. i wojny domowej, podejmuje istotny problem i analizuje go rzeczowo, z pełną znajomością warsztatu naukowego i doskonałym opanowaniem materiału. (...) Historycy w Polsce Ludowej z natury rzeczy reprezentują najczęściej odmienne stanowisko niż badacze w okresie międzywojennym. Interesuje ich przede wszystkim treść polityczna wydarzeń, podczas gdy uwagę tamtych przykuwała zwłaszcza strona militarna, wojskowe strony działalności korpusów. M. Wrzosek nie poszedł śladami ani jednych ani drugich. Spróbował, z pozytywnym rezultatem, zanalizować działalność korpusów polskich w Rosji jednocześnie jako zjawisko polityczne i militarne oraz dokonać syntezy i na podstawie dotychczasowego stanu wiedzy oraz materiałów, które wydobył z archiwów, dać możliwie pełniejsze uogólnienia. Zresztą sam temat zmuszał autora do wszechstronności. Jeśli interesowały go głównie kwestie wojskowe, to pominięcie aspektów politycznych przy opracowaniu tej problematyki jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Wydarzenia rozgrywały się na terenie kraju ogarniętego rewolucją, samo wojsko zaś było w dużej mierze emanacją określonych sił politycznych.

Autor umiejętnie wyważył poszczególne fragmenty pracy. Całość, zgodnie z chronologią i terytorialnym rozlokowaniem korpusów, podzielił na pięć rozdziałów, poprzedzając je wstępem historiograficznym oraz uzupełniając krótkim zakończeniem.

(...) Struktura książki nie budzi więc w zasadzie żadnych zastrzeżeń, tym bardziej, że podział na podrozdziały jest równie przejrzysty. Jasna narracja i logiczne powiązanie wątków z pewnością są walorem pracy. Podkreślić też trzeba fakt, że autor mocno zaakcentował klasowy charakter korpusów. Nie zamazuje on, lecz uwypukla ich polityczny, endecki rodowód, brak szerokiego odzewu wśród wojskowych Polaków w armii rosyjskiej na idee korpusów, permanentne wykorzystywanie formowania oddziałów, zwłaszcza ułanów, do ochrony majątków obszarniczych, zdecydowanie kontrrewolucyjne przekonania kadry dowódczej, itp. Z drugiej strony Wrzosek nie bagatelizuje kwestii polskiej, stwierdza, że istnienie korpusów przyczyniło się do rozbudzenia świadomości narodowej wśród części żołnierzy, a wielu z nich już w Polsce aktywnie uczestniczyło w rozbrajaniu Niemców w listopadzie 1918 r.

Autorowi udało się precyzyjnie i wszechstronnie zbadać problem Wojska Polskiego w Rosji, wyciągnąć obiektywne wnioski, a że nie wypadły one najlepiej dla korpusów, a o to już autora winić nie można.

Przy wszystkich tych zaletach praca Wrzoska nie jest wolna od pewnych, wprawdzie drobnych, usterek.

(...) W sumie jednak zalety książki całkowicie górują nad nielicznymi usterkami. Pracę Wrzoska można więc ocenić pozytywnie, jako nowy, ważki głos w podjętym problemie korpusów polskich, jako pozycję, która wejdzie na trwałe do dorobku historiografii polskiej.

fragm. rec. [w:] Wojskowy Przegląd Historyczny, R. 18; 1970 r. nr 2.

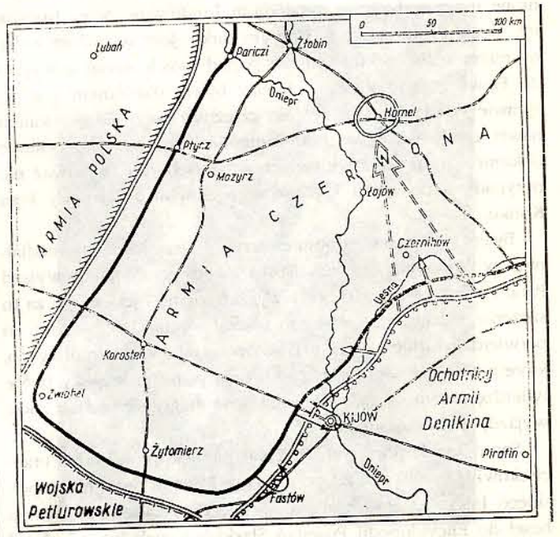

Front wołyńsko - podolski w październiku 1919 r.

ZAPISANE

Jan SNOPKO

Garść wspomnień z seminarium Profesora Mieczysława Wrzoska

Sięgając pamięcią do wspomnień z okresu seminarium magisterskiego (a później i doktorskiego) prowadzonego przez Profesora Mieczysława Wrzoska wypada stwierdzić, że zawsze było ono bardzo liczne. Na spotkania te stawiała się zazwyczaj spora gromadka żaków — prawie bez wyjątku płci męskiej. Co prawda ludowe porzekadło głosi, że „za mundurem panny sznurem", ale tego „sznura" studentek na najbardziej „bojowym" seminarium trudno się było doszukać (może dlatego, że byliśmy zupełnie nieumundurowani). Faktem jest jednak, iż Profesor należy do ścisłej czołówki jeśli chodzi o liczbę wypromowanych absolwentów (ktoś ich wreszcie powinien policzyć), którzy otrzymali dyplomy magistrów historii na podlaskiej Alma Mater.

Co przyciągało młodzież na seminarium poświęcone głównie zagadnieniom historii wojskowości, pozostającej przecież jakby trochę w cieniu badań nad historią społeczną, polityczną czy gospodarczą?

Wydaje mi się, że można by wymienić kilka takich czynników „przyciągających".

Na pierwszym miejscu należy postawić autorytet naukowy Profesora Wrzoska, będącego niewątpliwie jednym z najwybitniejszych badaczy dziejów wojskowości polskiej, zwłaszcza pierwszej połowy XX wieku — epoki jakże brzemiennej w wydarzenia wojenne. Mistrz zadziwiał nas niejednokrotnie swoją kompetencją w wielu kwestiach, jak chociażby problematyka legionowa czy wojny o granice Niepodległej. Imponowała nam doskonała znajomość bazy źródłowej — owocowała tu z kolei wieloletnia praca Profesora w Centralnym Archiwum Wojskowym i Wojskowym Instytucie Historycznym, a także w Archiwum Akt Nowych. Zasób wojskowej składnicy archiwalnej nie miał dla Niego tajemnic. Stąd też oceny Promotora co do możliwości przygotowania pracy na dany temat i istniejących archiwaliów były zazwyczaj trafne. Możliwość kontaktów, dyskusji, a nawet wspólnych dociekań naukowych z tak wybitnym specjalistą, autorem wielu popularnych książek (jak chociażby Dzieje oręża polskiego) — była na gruncie białostockim niewątpliwie atrakcją.

Niezwykle istotne znaczenie miała też osobowość Profesora; Jego życzliwość, bezpośredniość, swoboda kontaktów — bardzo zresztą systematycznych. Promotor bardzo sumiennie pojawiał się na zajęciach, mimo uciążliwych dojazdów z Warszawy, obowiązków dziekańskich i ostatnich kłopotów ze zdrowiem. Na „wagary" z powodu Jego nieobecności nie mogliśmy więc liczyć. Szczególną opieką cieszyli się nowi uczestnicy seminarium Profesora. Pamiętam, że gdy pojawiła się ich większa grupa, zajęcia w nowym roku akademickim zaczynały się od wycieczki do Warszawy, której głównym celem było zapoznanie się z katalogami i procedurą korzystania z Biblioteki Uniwersyteckiej oraz odwiedzenie Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie.

Ponieważ osobiście takiej poglądowej wycieczki nie odbyłem, podczas pierwszej „naukowej" wyprawy do stolicy jechałem obficie zaopatrzony w dobre rady, nawet odręczne szkice (plan rozmieszczenia katalogów w BUW-ie) i wskazówki Profesora. Do dziś pamiętam, że tylko autobus linii 143 miał mnie najpewniej przewieźć z Grochowa pod bramę Akademii Sztabu Generalnego, na terenie której mieści się wspomniane już archiwum wojskowe. Procedura korzystania z tegoż archiwum wydawała mi się wówczas mało „przyjazna" początkującym adeptom nauki historycznej, ale rekompensował to przyzwoity obiad i butelka „Żywca" w kasynie.

Frekwencja na seminarium Profesora Wrzoska potwierdza zainteresowanie sporej części młodzieży tradycjami oręża polskiego. Niejeden z nas — wychowany na romantycznej literaturze, w duchu patriotycznym — śnił być może o kawalerskich ostrogach czy oficerskich szlifach. W miarę dojrzewania z marzeń tych wyrastaliśmy, ale zainteresowania historią wojskową pozostawały.

Przyciągała nas wreszcie na seminarium podejmowana tam problematyka, która niejednokrotnie była tabu w PRL-owskiej rzeczywistości. A więc walki o niepodległość lat 1914–1920, Legiony, wojna polsko-bolszewicka itp. Badania nad tymi problemami podjęte w latach Drugiej Rzeczpospolitej, po wojnie zostały skutecznie wyhamowane. Na przekór temu nawet w okresie najgłębszej nocy stanu wojennego i dławiącej cenzury na naszym seminarium analizowaliśmy bitwy i operacje wojny 1920 roku, „broniliśmy" Lwowa, „odbijaliśmy" Wilno, badaliśmy czy „cud nad Wisłą" był rzeczywiście cudem. Konfrontowaliśmy literaturę drugiego obiegu z dorobkiem historiografii, głównie tej okresu międzywojennego, gdyż nowsza praktycznie jeszcze nie istniała. Byliśmy surowymi recenzentami ponieważ często okazywało się, że treść „bibuły" nie wychodzi poza ustalenia Adama Przybylskiego (Wojna polska 1918–1921, Warszawa 1930).

Profesor przywiązywał dużą wagę do doskonalenia warsztatu naukowego i nieustannie nas do tego mobilizował. Już po pierwszych próbach pisarskich okazywało się, jak mizerne były nasze wyobrażenia o przypisach, stylu czy konstrukcji pracy. Zwłaszcza ta ostatnia kwestia była często „wałkowana" na spotkaniach seminaryjnych. „Dobry plan to połowa sukcesu — powtarzał Profesor — to osnowa, szkielet, który pozostaje tylko wypełnić". Niektórych dziwiło, a może i nieco irytowało zamiłowanie Promotora do szczegółów, drobiazgów — jak nam się wydawało — nieistotnych. No bo czy to takie ważne ile ułańskie konie dostawały obroku, czy też kiedy padał deszcz? Marny był jednak pożytek z koni, które poprzedniego dnia nie dostały swojej porcji owsa, a dłuższy marsz w gliniastym terenie po deszczu też nie należał do przyjemności. Wszystko to w konkretnych warunkach nabierało czasem ogromnego znaczenia.

Na zakończenie może warto dodać, że Profesor Wrzosek potrafi mobilizować uczniów do pracy, nie pozostawia ich zbyt długo w bezczynności. W związku z tym przypomina się historyjka, z gatunku tych „prawdziwych". Otóż pewnego razu do gabinetu Profesora w dziekanacie wchodzi jeden z doktorantów z plikiem papierów pod pachą: „Dzień dobry Panie Profesorze — Aaa, dzień dobry, dobrze że Pana widzę, czy coś Pan ostatnio napisał? — Tak, Panie Profesorze (odpowiada z bardzo niepewną miną doktorant) — To świetnie, proszę pokazać, miał Pan napisać rozdział pracy — Ale to jest, Panie Profesorze, podanie o urlop". Nie muszę chyba dodawać, jaką salwą śmiechu powitali to obecni w dziekanacie.

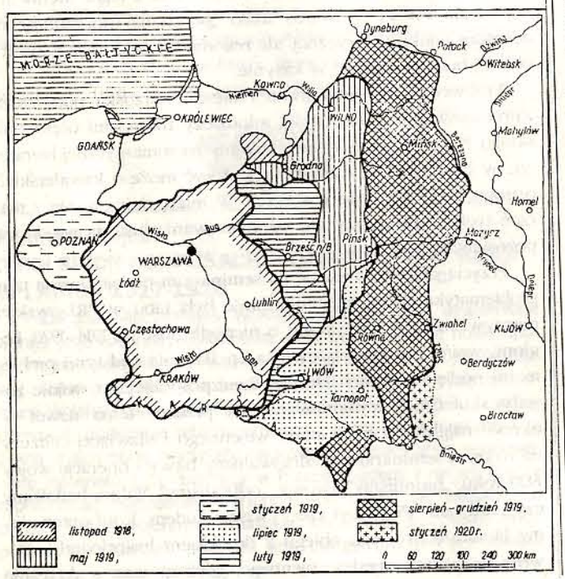

Wyniki działań wojskowych w 1919 r.

Zygmunt Łukowski
Recenzja książki Mieczysława Wrzoska. Polskie korpusy wojskowe w Rosji w latach 1917-1918 (Kwart. Hist. T.78:1971, nr 3)

O korpusach polskich w Rosji pisano już wiele. Są to głównie opracowania pióra bezpośrednich uczestników wydarzeń, a więc nie wolne od ocen i sądów bardzo subiektywnych. (...) Dobrze się więc stało, że korpusami polskimi zajął się raz jeszcze specjalista z historii wojskowej.

Baza źródłowa recenzowanej pracy jest obszerna. Wszystkie krajowe archiwalia zostały wyzyskane, Zwłaszcza bardzo dobrą orientację wykazuje Autor w zawartości Centralnego Archiwum Wojskowego, gdzie znajduje się gros materiałów do zagadnienia.

Literaturę przedmiotu i to zarówno dawniejszą, jak i opracowania współczesne wyzyskano bardzo skrupulatnie. Oczywiście, można tu wysuwać dodatkowe dezyderaty, na przykład nie uwzględniono niektórych pozycji radzieckich bezpośrednio odnoszących się do tematu (A. E. Antonow, Razgrom biełopolskiego miatieża w Sowietskoj Biełorussii w 1918 g. Moskwa 1940; E. Lwouski, pod botam lehienau Doubor-Musnickaha. Mińsk 1930), ale są one w Polsce trudno dostępne. Podobnie można by sugerować sięgnięcie do literatury czeskiej i słowackiej poświęconej korpusowi czechosłowackiemu w Rosji. Tym bardziej byłoby to celowe, że między korpusami polskimi i korpusem czechosłowackim istniały kontakty.

(...) Kierując się stanem dotychczasowych badań Autor najwięcej miejsca poświęcił genezie wojska polskiego w Rosji oraz II, a zwłaszcza III korpusowi polskiemu.

Punktem wyjścia rozważań Autora jest rewolucja lutowa 1917 r. stwarzająca nowe perspektywy rozwoju sprawy polskiej w Rosji w ogóle, w tym również realizacji idei wojska polskiego.

(...) Autor pokazuje niezwykle skomplikowaną sytuację, w jakiej następowało formowanie wojska polskiego w Rosji.

(...) Stosunkowo najobszerniej przedstawiono w pracy losy II i III korpusów polskich formowanych na południu. Autor postąpił słusznie, bowiem o ile I korpus jest raczej dobrze opracowany, to o historii II, a zwłaszcza III korpusu wiemy raczej niewiele. Te partie, oparte często na materiałach archiwalnych, stanowią w moim przekonaniu najbardziej wartościową część książki.

(...) W zakończeniu pracy znaleźć można kilka bardzo ważnych sformułowań co do roli i znaczenia polskich formacji wschodnich.

(...) W sumie więc otrzymaliśmy wartościową pracę, rzetelnie napisaną, będącą istotnym uzupełnieniem naszej wiedzy o losach ludności polskiej w Rosji w okresie rewolucji 1917 r.

DEDYKOWANE JUBILATOM

Adrian KONOPKA

Garnizon Białystok w 1913 roku
(Dziewięciu generałów carskich)

Położenie Białegostoku od dawna czyniło z tego miasta wygodne miejsce stacjonowania wojsk. W końcu XIX wieku krzyżowały się tu ważne linie komunikacyjne: kolejowe z Petersburga do Warszawy, z Grajewa do Brześcia, z Białegostoku do Baranowicz oraz liczne drogi bite. Miasto osłaniały od północy i zachodu nie tylko przeszkody wodne: Biebrza, Narew i Bug, ale też pobliskie garnizony: Sokółka, Augustów, Osowiec, Grajewo, Łomża i Zambrów. Białystok stanowił więc ważne ogniwo w ugrupowaniu wojsk rosyjskich rozmieszczonych wzdłuż granicy z Prusami Wschodnimi. Położenie miasta powodowało, że stanowiło ono ośrodek dowodzenia, łączności i zaopatrzenia dla rozmieszczonych w pobliżu wojsk.

Przed I wojną światową Białystok był sporym garnizonem wojsk rosyjskich. Pełniło tu służbę aż dziewięciu generałów. Stacjonowały tu następujące instytucje i jednostki wojskowe:

6. Korpus Armijny

Sztab i Zarząd Intendentury Korpusu mieściły się przy ul. Kilińskiego (Niemieckaja ulica). Dowódcą korpusu był generał infanterii (piechoty) Aleksander Błagowieszczański, szefem Sztabu- gen. mjr Georgij Niekraszewicz, inspektorem artyleriigen. major Andrzej Gregorowicz. Lekarzem korpusu był st. radca Aleksander Bernatowicz.

Postaci A. Bernatowicza warto poświęcić nieco uwagi. Urodzony w 1855 roku na Wileńszczyźnie, ukończył gimnazjum w Lublinie, a następnie Wydział Lekarski Uniwersytetu Kijowskiego. Doktoryzował się w Wojskowej Akademii Medyko- Chirurgicznej w St. Petersburgu. W służbie zdrowia armii rosyjskiej dosłużył się rangi rzeczywistego radcy stanu- odpowiednika stopnia generała. Od 25 lipca 1917 roku służył w I Korpusie Polskim im. gen. Józefa Dowbor- Muśnickiego: początkowo jako naczelny lekarz korpusu, a następnie inspektor sanitarny obszaru zajętego przez oddziały polskie. Po likwidacji I KP był prezesem samopomocy i członkiem samoobrony Polaków wojskowych w Mińsku Litewskim. W połowie grudnia 1918 roku, jako generał podporucznik, został przyjęty do Wojska Polskiego, na stanowisko szefa sanitarnego dywizji litewsko- białoruskiej. Od 1919 roku był inspektorem sanitarnym frontu wschodniego przy Kwaterze Głównej. Zmarł 11 marca 1920r. Pochowany w Warszawie.2)

4. Dywizja Kawalerii

Dowództwo i Wydział Intendentury 4. Dywizji Kawalerii miały swoją siedzibę przy ul. Botanicznej (dom Sosnowskiej). Dywizją dowodził gen. mjr Anton Tołpygo. Dowódcami brygad byli: pierwszej- gen. mjr Bronisław Krassowski, drugiej- gen. mjr Iwan Falkowski.

Przy dowództwie dywizji istniało **Wojskowe Towarzystwo Jeździeckie.** Powstało ono w 1900 roku. Celem towarzystwa było krzewienie dyscyplin sportu wśród oficerów dywizji. Towarzystwo liczyło 7 członków honorowych i 206 rzeczywistych. Prezydentem towarzystwa był gen. A. Tołpygo, a przewodniczącym płk. Edward von Harten (zastępca dowódcy 4. Charkowskiego Pułku Ułanów ds. liniowych).

W Białymstoku stacjonowało kilka jednostek wchodzących w skład 4 Dywizji Kawalerii.

Siedzibą **4 Mariampolskiego Pułku Huzarów Generał- Feldmarszałka Księcia Witgensteina** były zbudowane u schyłku XIX wieku koszary na końcu ówczesnej ul. Mariampolskiej *(w okresie międzywojwnnym Koszary im. Bema, siedziba 14. Dywizjonu Artylerii Konnej, obecnie- Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, ul. Bema 100)*. Pułkiem dowodził płk Mikołaj Kiriłłow. Jego zastępcami byli: płk Dmitrij Zyskow (ds. liniowych) i ppłk Artur Kalecki (ds. gospodarczych). Pułk składał się z pięciu dywizjonów (dowódcy: rtm. Adam Łukaszewicz, rtm. Aleksander Ger, rtm. Lew Uljanow, rtm. Sergiej Grigorow i rtm. Włodzimierz Bielawski). W pułku służyło 39 oficerów (2 pułkowników, 4 podpułkowników, 5 rotmistrzów, 11 sztab- rotmistrzów, 10 poruczników i 7 kornetów (chorążych). Kapelanem pułku był o. Aleksy Bakurewicz.

4. Charkowski Pułk Ułanów stacjonował w koszarach za Słobodą, przy Szosie Zambrowskiej *(ul. Ciołkowskiego, w okresie międzywojennym były to Koszary im. Marszałka Piłsudskiego, siedziba 10. Pułku Ułanów Litewskich, obecnie stacjonuje tu 18. Białostocka Brygada Zmechanizowana, ul. Kawaleryjska 70)*. Pułkiem dowodził płk Stefan Nikołajew. Jego zastępcami byli: płk E. v. Harten i ppłk Aleksander Rubinsztein. Pułk składał się z dywizjonów (dowódcy: rtm. Michał Jakowlew, rtm. Iwan Łoszkarew, rtm. Jakub Bogdanowicz, rtm. Mikołaj hr. von Knorring, rtm. Eugeniusz Jakobson oraz kpt. Sergiej Samarin- odkomenderowany do pułku oficer Sztabu Generalnego). W pułku służyło 39 oficerów (2 pułkowników, 2 podpułkowników, 5 rotmistrzów, 19 sztabs- rotmistrzów, 6 poruczników i 5 kornetów). W pułku było dwóch lekarzy medycyny-

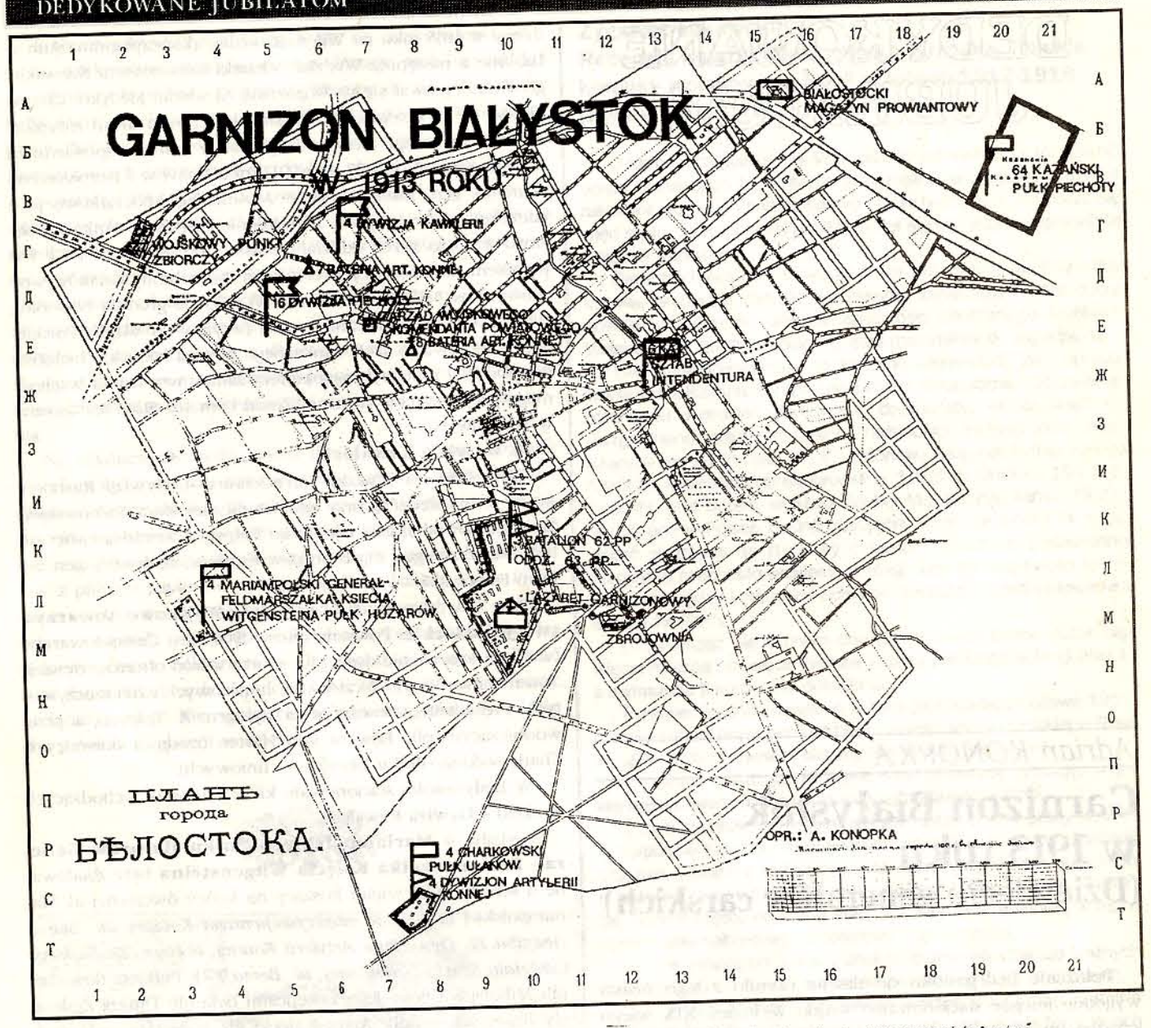

Źródło: Muzeum Historyczne w Białymstoku, Sygn.WBKD/494, Plan goroda Bełostoka, b.r.im.w.; Sprawocznyj kalendar' po g.Bełostoku na 1913 god, pod red.płk E.O. von Hartena, Białystok 1913, s.205 i n.

Bronisław Przysiecki i Włodzimierz Rybiński i lekarz weterynarii- Eugeniusz Zacharczenko. Kapelanem był o. Włodzimierz Dubrowski.

W koszarach przy Szosie Zambrowskiej stacjonował też **4. Dywizjon Artylerii Konnej** (dowódca- płk Iwan Zacharczenko).

7. Bateria Artylerii Konnej (dowódca- ppłk Piotr Jabłonowski-Snadzki) miała swoją siedzibę przy ul. Dąbrowskiego (Nowoszo sejnaja ulica). W baterii służyło 6 oficerów (m. in. Georgij książe Wacznadze) i dwaj lekarze- medycyny i weterynarii.

8. Baterią Artylerii Konnej, z siedzibą przy ul. Lipowej, dowodził ppłk Aleksander Lewicki. W baterii służyło ponad czterech oficerów.

16. Dywizja Piechoty

Sztab 16. Dywizji Piechoty znajdował się przy ul. Św. Rocha (Staroszosejnaja ulica), w domu Satina. Dywizją dowodził gen. lejtnant Gwido Richter, a brygadami- gen. mjr Georgij Eiche i gen. mjr Józef Jakubowski. W sztabie dywizji służbę pełniło ponad siedmiu oficerów.

W Białymstoku stacjonowało kilka oddziałów i samodzielnych pododdziałów 16 Dywizji Piechoty.

Koszary **64. Kazańskiego Pułku Piechoty** znajdowały się za Dworcem Poleskim *(obecnie Białystok Towarowy, w okresie międzywojennym Koszary im. Traugutta, siedziba 42. Pułku Piechoty im. Gen. J. H. Dąbrowskiego, ul. Traugutta 25)*. Pułkiem dowodził płk Aleksander Iwanow. Szefem sztabu był płk Mikołaj Bogdasarow, a kwatermistrzem ppłk Włodzimierz Kudriew. Trzonem pułku były cztery bataliony piechoty (dowódcy: ppłk Aleksander Michajłow, ppłk Mikołaj Kutniewicz, ppłk Iwan Aleksandrow i ppłk Michał Razwodowski). Batalion składał się z czterech kompanii piechoty. Ponadto w pułku były kompanie: tyłowa (nie- szykowa), szkolna, ciężkich karabinów maszynowych, łączności i zwiadu, sąd pułkowy oraz izba chorych (3 lekarzy). Kapelanem pułku był o. Szymon Grygorowicz.

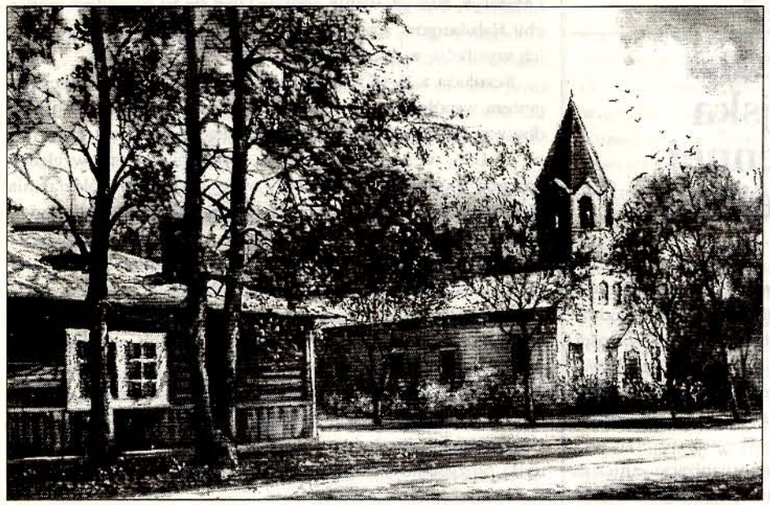

J. Romańczuk. Stare koszary przy ul. Kawaleryjskiej (olej, 1994 r.)

Inne jednostki

Zarząd Powiatowego Komendanta Wojskowego (komendant wojskowy- ppłk Aleksander Korczak- Greczyna) mieścił się przy ul. Lipowej.

W centrum Białegostoku, w *Dawnych Koszarach Władymirowskich (w okresie międzywojennym Koszary im. Gen. Sowińskiego, obecnie teren zamknięty ulicami: M. Curie- Skłodowskiej, Waszyngtona, Szpitalną, Wołodyjowskiego i 11 Listopada)*, stacjonowało kilka jednostek.

- **3. Batalion 62. Suzdalskiego Pułku Piechoty** (dowódca- ppłk Wacław Kmieciński) składał się z czterech kompanii piechoty. Kadrę batalionu stanowiło 12 oficerów.

- **Wydzielony Oddział 63 Uglickiego Pułku Piechoty Generał- Feldmarszałka Grafa Apraskina** (dowódca oddziału- ppłk Paweł Czerleniowski). Sztab pułku mieścił się w Sokółce. W skład oddziału wchodził 3 i 4 batalion piechoty (dowódcy: ppłk P. Czerleniewski i ppłk Józef Rajewski). W oddziale pełniło ponadto służbę 18 oficerów.

- **Białostocki Lazaret Garnizonowy** (starszy lekarz - Mikołaj Bielakowski) zatrudniał 6 lekarzy, 1 felczera medycyny, prowizora aptecznego, gospodarza i 3 siostry miłosierdzia.

Białostockie Magazyny Żywnościowe (intendent- ppłk Sergiej Andrianowicz) mieściły się za miastem. Nie udało się ustalić pewnego adresu tej jednostki. Wydaje się jednak, że znajdowała się ona na terenie dziesiejszej Jednostki Wojskowej 1590 przy ul. Węglowej, obok linii kolejowej z Białegostoku do Brześcia.

Ostatni rok

W ciągu pierwszych miesięcy po wybuchu I wojny światowej Białystok znajdował się na uboczu jej działań3). Dopiero rankiem 20 kwietnia 1915 roku eskadra 15 samolotów niemieckich zbombardowała miasto. Zginęło 13 osób, 34 odniosło rany, spłonęło 9 budynków. Kilka razy, nocami, nadlatywały i bombardowały miasto niemieckie sterowce. Pewnej nocy lotnik niemiecki, oświetlając teren dworca kolejowego reflektorami, trafił bombą w wagon z amunicją powodując bardzo silny wybuch.

Miasto i jego mieszkańcy odczuwali także pośrednie skutki wojny. Obowiązkowe dostawy dla wojska i rekwizycje uderzały w miejscowy przemysł. W końcu lipca 1915 roku przystąpiono do ewakuacji fabryk. Część majątku trwałego władze postanowiły zniszczyć.

Rosyjska załoga Garnizonu Białystok, zapewne w innym już składzie niż przedstawiono wyżej, opuszczała miasto w wielkim nieładzie. Płonęły magazyny wojskowe i koszary podpalone przez wycofujące się oddziały. Trzy dni przed odwrotem władze wojskowe nakazały wszystkim mężczyznom w wieku 17-45 lat wymarsz z miasta. Ta próba wyprowadzenia rekruta nie powiodła się. Delegacji mieszkańców udało się „wyjednać" u wojskowego komendanta miasta za łapówkę, że uciakające oddziały rosyjskie i maruderzy musieli okrążać miasto- na wschód maszerowali bocznymi drogami i przez Wasilków iść do Grodna. Ograniczyło to zasięg grabieży. W nocy z 12 na 13 sierpnia 1915 roku ostatnie oddziały rosyjskie opuściły miasto. Ostatnim ich dziełem było częściowe wysadzenie w powietrze wiaduktu kolejowego przy ul. św. Rocha oraz spalenie wiaduktu.

Kilkanaście godzin później, wczesnym popołudniem 13 sierpnia, do Białegostoku wkroczyły pierwsze patrole niemieckie.

1. Dane o jednostkach wojskowych, ich adresach i obsadzie personalnej zaczerpnięto z: Sprawocznyj kalendar' po g. Bielostoku na 1913-j god, opr. pod red. płk. E. O. von Hartena, Białystok 1913, s.205 i n. Wydawnictwo zawiera ponadto adresy zamieszkania oficerów.
2. Szerzej: Polski Słownik Biograficzny, t. 1, Kraków 1935, s. 462-463.
3. Szerzej: Białystok, Zarys historyczny, opr. H. Mościcki, Białystok 1933, s. 207 i n.

Halina PARAFIANOWICZ

Unia Demokratyczna Środkowoeuropejska i jej wizja powojennej Europy Środkowej

Jesienią 1918, w końcowej fazie I wojny światowej, nieuchronna klęska państw centralnych urealniła nadzieje narodów przez nie uciskanych na odbudowę własnych państwowości. Szczególne oczekiwania łączono z USA i ich prezydentem, Woodrow Wilsonem, uchodzącym za rzecznika narodów uciskanych oraz zwolennika „sprawiedliwości dziejowej" i odbudowy państw narodowych w Europie.

W USA w tym czasie uaktywniły się organizacje etniczne, zwłaszcza z Europy Środkowej i Wschodniej. Ich działacze okazywali radość z klęski mocarstw centralnych, łącząc z tym przede wszystkim nadzieje na polepszenie doli rodaków w krajach ojczystych. Coraz realniejszą wydawała się jeszcze do niedawna jedynie „mrzonka" aktywistów niepodległościowych, na odbudowę własnych państw. Rozpad Austro-Węgier był bowiem już jedynie kwestią czasu, i to bliskiego. Odczyty, spotkania i mityngi organizowane przez działaczy etnicznych w USA stały się znakomitą okazją do wyrażenia w ten sposób poparcia dla zachodzących zmian w Europie Środkowej i Wschodniej. Były też próbą pozyskania amerykańskiej opinii publicznej i czynników rządowych dla własnych racji politycznych.

Ciekawą inicjatywą na gruncie amerykańskim była próba stworzenia organizacji zrzeszającej przedstawicieli narodów uciskanych przez Austro-Węgry. Aktywną w niej rolę odegrał przywódca czeski, Tomas G. Masaryk, także Ignacy Jan Paderewski oraz działacze jugosłowiańscy. Duże zasługi na tym polu położył socjolog z Oberlin College, Szwed z pochodzenia, gorący sympatyk dążeń narodowych społeczeństw środkowoeuropejskich, Herbert A. Miller. Współpracował on z Masarykiem i przyczynił się w znacznym stopniu do popularyzacji spraw czeskich w USA. Był on jednym z pierwszych amerykańskich rzeczników rozbicia Austro-Węgier, konsekwentnie popierającym dążenia wolnościowe narodów wchodzących w ich skład. Miller opowiadał się też za ścisłą współpracą narodów zamieszkujących monarchię Habsburgów, co warunkowało - jego zdaniem - szybki sukces w budowie ich własnych państwowości. Był również jednym z inicjatorów mityngu nowojorskiego 15. IX.1918 r. oraz współzałożycielem powołanej w dniu następnym Unii Demokratycznej Środkowoeuropejskiej (UDŚ).

15. IX.1918 w Carnegie Hall w Nowym Jorku odbył się mityng na rzecz poparcia dążeń narodowych w Europie Środkowej, który spotkał się z życzliwym odzewem w USA. Udział w nim brali przedstawiciele różnych narodów zamieszkujących Austro-Węgry m. in. Masaryk, Hinko Hinković (Chorwat reprezentujący Jugosłowian), Vasil Stoica (reprezentant Rumunów), Paderewski i in. Zaproszono też przedstawicieli amerykańskich organizacji i przede wszystkim osobistości polityczne USA. Pośród gości byli między innymi sen. Gilbert M. Hitchcock, były prezydent Wiliam Howard Taft, także wpływowy senator Henry C. Lodge. Zabierający głos mówcy, zarówno Paderewski jak i Masaryk, zdecydowanie opowiedzieli się za rozpadem monarchii Habsburgów, apelując zarazem do Amerykanów o poparcie ich wysiłków wolnościowych1.

Rezolucja z 15. IX.1918 i powołanie UDŚ były symbolicznym gestem współpracy małych narodów tego regionu w dziele budowy pokoju i przyszłego europejskiego ładu. Działacze etniczni w USA, w tym także Czesi wykazali w tym względzie znaczną aktywność doceniając wagę takiego współdziałania. Millerowi, chyba nie bez racji, przypisuje się spore zasługi w tej mierze. To właśnie on inicjował wiele kontaktów działaczy narodowych, poszerzając ich udział w UDŚ między innymi o Ukraińców, Greków, Albańczyków. Zabiegał o poparcie dla tej idei amerykańskich kręgów rządowych i ekspertów Inquiry, m. in. zyskując aprobatę wpływowego w kręgach establishmentu najbliższego doradcę prezydenta Wilsona, pułk. Edwarda M. House'a, a także Williama Phillipsa z Departamentu Stanu. Miller też osobiście redagował rozmaite postualty, dokumenty UDŚ, rezolucje, itp. Jedną z nich, adresowaną do Wilsona doręczyła prezydentowi USA 20. IX.1918 kilkunastoosobowa delegacja z Masarykiem na czele2.

Prasa amerykańska na czele z „New York Times", informowała o obradach UDŚ, życzliwie na ogół komentując dążenia wyzwoleńcze narodów Austro-Węgier. Publicyści i komentatorzy entuzjastycznie pisali o potrzebie budowy Polski, Jugosławii czy Czechosłowacji. Ale życzliwość amerykańskich mass mediów nie w pełni pokrywała się z oficjalnym stanowiskiem kół rządowych USA wprawdzie do tego czasu uznały już zarówno Komitet Narodowy Polski (KNP), jak i Czechosłowacką Radę Narodową (CRN) za przedstawicielstwa państwowe, ale najwyraźniej nie miały one wypracowanej, klarownej polityki wobec Austro-Węgier. Raczej wciąż zostawiały pole manewru odciągając wszelkie zobowiazujące decyzje na czas przyszłej konferencji pokojowej.

Niektórzy politycy z amerykańskiego establishmentu nadal opowiadali się za zachowaniem, acz przebudowanych, Austro-Węgier, zakładając też ich pewne, choć bliżej nie sprecyzowane, straty terytorialne. Może dlatego m. in. Amerykanie wcześniej poparli dążenia nipodległościowe Polaków oraz Jugosłowian, co oznaczało pewne ubytki terytorialne Austro-Węgier, ale nie ich całkowitą dezintegrację. Inaczej natomiast wyglądał stosunek Amerykanów (podobnie jak i początkowo aliantów) do ruchu niepodległościowego czechosłowackiego. Prezydent Wilson, sekretarz stanu Robert Lansing, jak i urzędnicy w Departamencie Stanu długo zajmowali postawę wyczekującą i nie chcieli się wypowiadać w tej kwestii. Przed I wojną światową Austro-Węgry były trwałym i, jak wielu polityków uważało niezbędnym elementem Europy. Nie wyobrażano zatem, że mogło być inaczej, zwłaszcza w początkowej fazie wojny. Rozwijający się z czasem nurt niepodległościowy Czechów i Słowaków oraz ich żądania daleko wykraczały poza plany Ententy wobec Europy Środkowej. Wprawdzie okazywano sympatię i pewne gesty wobec aspiracji narodowych Czechów i Słowaków, ale początkowo Francja i Anglia, ani tym bardziej USA, nie spieszyły się z poparciem dla CRN i ruchu niepodległościowego. Były one przekonane o potrzebie zachowania monarchii habsburskiej, choć okrojonej i zreformowanej. Poparcie zaś niepodległości Czechosłowacji oznaczałoby tak czy inaczej uznanie rozpadu państwa Habsburgów, gdyż bez Bohemii nie mogło by ono istnieć. Dopiero w końcowej fazie wojny, kiedy klęska militarna i kryzys polityczny Austro-Węgier stał się faktem oczywistym, USA zdecydowały się na poparcie Czechosłowackiego Ruchu Niepodległościowego. Zabiegi amerykańskich Czechów i Słowaków okazały się w tym względzie pomocne i użyteczne. Jesienią 1918 CRN została ostatecznie uznana przez państwa Ententy jako de facto rząd przyszłej Czechosłowacji. Po decyzji Francji, Wielkiej Brytanii i USA, 3 października uznały ją także Włochy.

Na gruzach rozpadającej się monarchii Habsburgów („więzienia narodów", jak ją obrazowo nazywano) powstawały zalążki nowych panstwowości. Klęska militarna Austro-Węgier była czynnikiem sprzyjającym dla rozwoju i radykalizacji ruchów narodowych, w tym i czechosłowackiego. Wielonarodowa struktura państwa Habsburgów okazała się już przeżytkiem, a nieudolne projekty federacji poniosły kompletne fiasko Powstawały nowe państwa narodowe, które powoli zyskiwały powszechną aprobatę w Europie i poza nią. Stany Zjednoczone, choć później niż inni alianci, opowiedziały się także za tymi zmianami, a prezydent Wilson uchodzący za rzecznika państw narodowych, widział w ich tworzeniu „akt sprawiedliwości dziejowej".

Tak oto pod koniec I wojny światowej dochodziło do rozpadu monarchii habsburskiej, z terytorium której, bądź jej części powstawały nowe państwa: Austria, Wegry, Czechosłowacja, Polska, Jugosławia i Rumunia. 11. IX.1918 abdykował Karol I, a dzień potem proklamowano Republikę Niemieckiej Austrii i jej połączenie z Niemcami.

W tym czasie bardzo spektakularnym wydarzeniem na gruncie amerykańskim była konferencja aktywistów środkowoeuropejskicj powołanej wcześniej UDŚ. Odbywała się ona w Filadelfii w dn. 23-26. X.1918, czemu nadano uroczysty charakter. Bardzo symboliczną wymowę miał sam fakt, że wydarzenie odbywało się w Independence Hall, miejscu szczególnym dla Amerykanów. W konferencji udział wzięło 72 delegatów z 12 krajów, a same obrady budziły żywe i życzliwe zainteresowanie opinii publicznej. W prasie amerykańskiej nie zabrakło entuzjastycznych, a często i bezkrytycznych opinii o tym, że położono w ten sposób podwaliny pod sprawiedliwą i bezpieczną Europę. Jednym z liderów konferencji był przewodniczący UDŚ, Masaryk, który także wystąpił z okolicznościowym przemówieniem. Skorzystał ze sposobności i tam też ogłosił deklarację niepodległości Czechosłowacji3).

Miało to bardzo symboliczną wymowę, co zresztą Czesi postarali się wykorzystać dla celów propagandowych, licząc na zdecydowane poparcie Amerykanów. Nawiązywano w ten sposób do wzorców amerykańskiej demokracji i wolności. Niepodległość Państwa Czechów i Słowaków, o którym pisano, że „jest ono produktem amerykańskiej wolności" ogłoszono właśnie w Independence Hall4). Należy też pamiętać, że wystąpienie polityka czeskiego adresowane było do amerykańskiej opinii publicznej, co niewątpliwie zaciążyło na wielu jego sformułowaniach. Ale spełniło swoją rolę.

Konferencja w Filadelfii odegrała na gruncie amerykańskim pewną rolę w popularyzacji haseł niepodległościowych narodow z Europy Środkowej. Jej deklarację końcową, wraz z listem do prezydenta dostarczono Wilsonowi kilka dni później. Zaprezentowano w ten sposób idee UDŚ, która miała zastąpić, jak argumentowano niemieckie plany Mittel-Europy. Jak zapewniano adresata był to konstruktywny program narodowy zmierzający do „zagospodarowania" mapy politycznej Europy pomiędzy Rosją a Niemcami5).

Nie przeceniając wagi tego wydarzenia należy jednak pamiętać, że tak wyartykułowane stanowisko liderów UDŚ spełniło swoją rolę. Przecież to nie tylko USA, ale i państwa alianckie nie miały jeszcze do końca sprecyzowanych planów względem Europy. Zaniepokojenie wielu polityków budził fakt rozpadania się starych struktur monarchii Habsburgów. Towarzyszyły temu obawy przed anarchią w tym regionie. Z tą tezą właśnie i tą argumentacją polemizował Masaryk, Paderewski i inni aktywiści niepodległosciowi, docierający do ekspertów Inquiry, polityków z establishmentu i samego Wilsona. Wskazywali, że lukę po rozpadzie Austro-Węgier wypełnią nowe organizmy państwowe, których zalążki już funkcjonowały. Zbijali zarazem opinię o bałaganie i grożącej anarchii w tej części Europy. Zaś poparcie aliantów, a zwłaszcza USA - jak podkreslali - było potrzebne dla szybkiego i bezkolizyjnego tworzenia nowych struktur państwowych.

Warto w tym miejscu zauważyć, że Masaryk odegrał ważną i aktywną rolę w UDŚ. W jej dokumentach widoczne są również ślady jego inspiracji oraz echa głoszonych przez niego tez6). Pretendował a przecież do roli lidera słowiańskiego i znawcy tej problematyki i w trakcie wojny pracował nad książką dotyczącą narodów słowiańskich7). W czasie swego pobytu w 1918 w USA Masaryk niejednokrotnie występował w takim charakterze, powoli zyskując tam autorytet przywódcy-moralisty, obrońcy nie tylko Czechów i Słowaków, ale i w ogóle Słowian, zagrożonych postępującą germanizacją i madziaryzacją. W jego wypowiedziach sporo życzliwych słów padało pod adresem Polski i Jugosławii, których niepodległość, podobnie jak Czechosłowacji, była - zdaniem Masaryka - nieodłącznym i niezbędnym elementem w rekonstrukcji Europy Środkowej8).

UDŚ i jej poczynania na terenie USA były interesującą próbą współdziałania małych narodów, które miały tworzyć własne państwowosci na gruzach przestarzałych wielonarodowych struktur monarchii Habsburgów i Romanowych. W celu ich ostatecznego rozbicia, a więc zarówno Austro-Węgier, jak i Rosji (a był to cel wspólny) postulowano współpracę wszystkich narodów uciskanych. Dlatego trudniejsze okazało się ich późniejsze współdziałanie, tym bardziej, że oprócz likwidacji wspólnego wroga, czasem nic więcej ich nie łączyło. UDŚ okazała się tworem nietrwałym, a narastające sprzeczności stanowisk pośród jej delegatów nie rokowały nadziei na jej dalszą egzystencję9). Dawały o sobie znać przeniesione z Europy konflikty, a przede wszystkim pojawiły się już spory graniczne wśród powstających państw. Nowa Europa Środkowa, ściśle współpracująca, lepsza i sprawiedliwa, jak nieraz żarliwie zapowiadano na wiecach, nigdy nie wyszła poza werbalne sformułowania jej ówczesnych twórców.

Przypisy

1. Herbert Adolphus Miller, What Woodrow Wilson and America Meand to Czechoslovakia w: Robert Kerner, ed., Czechoslovakia. Twenty Years of Independence, University of California Press 1940, s. 80-81; Wiktor S. Mamtej, The United States and Central Europe, 1914-1918: A Study in Wilsonian Diplomacy and Propaganda, Princeton University Press 1957, s. 218-219.
2. Szerzej na ten temat pisze Arthur May, The Mid-European Union w: Joseph O'Grady, The Immigrants Influence on Wilsons Peace Policies, University of Kentucky Press 1967, s. 250-271.

3. Betty Miller Unterberger, The United States, Revolutionary Russia, and The Rise of Czechoslovakia, University of North Carolina Press 1989, s. 314-315. Sam tekst deklaracji przygotowywano wcześniej w Waszyngtonie przy aktywnej pomocy Millera.
4. „Current History", maj 1919, s. 312.
5. Ray Stannard Baker, Woodrow Wilson. Life and Letters, New York 1939, v. 8, s. 555-556.
6. Szerzej na ten temat pisze George Kovtun, Masaryk and America. Testimony of a Relationship, Washington: Library of Congress, 1988.
7. W trakcie pobytu w Rosji Masaryk pisał książkę, początkowo adresowaną do żołnierzy. W związku ze zmianą tam sytuacji politycznej i jego wyjazdem do USA, zmienił też jej adresata. Ukazała się drukiem w Wielkiej Brytanii (The New Europe. The Slav Standpoint, London: Eyre and Spottiswoode, 1918). Jeszcze w 1918 wydano jej drugą, anglojęzyczną edycję, ale też w bardzo małym nakładzie. Poszerzone wydanie ukazało się w Paryżu pod koniec 1918 oraz w Pradze (1920) i Berlinie (1922).
8. Masaryk, The New Europe..., S. 58.
9. Dmowski ani Paderewski nie brali udziału w konferencji w Filadelfii (Wiktor Sukiennicki, ed., East Center Europe during World War I: From Foreign Domination to National Independence, Boulder 1984, v. II, s. 900-901).

Ks. Kazimierz LITWIEJKO

Oddział leśny Stefana Ejsmonta ps. „Wir" (IV.1945–15. IV.1947 r.)

Okoliczności powstania oddziału.

Organizatorem i pierwszym dowódcą oddziału leśnego w obwodzie Armii Krajowej Obywateli a następnie w sokólsko-białostockim obwodzie zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" był Stefan Ejsmont ps. „Wir". Pochodził ze wsi Kuścińce gm. Kuźnica. W szeregach Związku Walki Zbrojnej znalazł się jesienią 1941 r. zaprzysiężony przez jednego z pierwszych konspiratorów na tym terenie Antoniego Białobłockiego ps. „Wilk". Otrzymał pseudonim „Wir". Początkowo pełnił funkcję dowódcy drużyny na placówce Kuźnica. We wrześniu 1943 roku we wsi Kuścińce zatrzymał się w marszu na Nowogródczyznę oddział partyzancki plut. pchr. Zbigniewa Czarnockiego ps. „Czarny" Oddział ten w dniach 19-20. IX.1943 został rozbity przez Niemców pod Stryjówką. W ręce gestapo dostał się młody partyzant „Mietek", który wskazał wszystkie punkty postoju oddziału. W ten sposób Stefan Ejsmont wpadł w ręce gestapo z Grodna. Ponieważ rodzina Ejsmontów wywodziła się z Kurlandii, Niemcy spodziewali się, iż po zwolnieniu „Wir" rozpocznie współpracę z gestapo. Stefan Ejsmont ukrył na wsi pod Grodnem matkę i siostrę, zlikwidował gospodarstwo i od tej pory ukrywał się wraz z braćmi: Czesławem ps. „Cygan" i Bolesławem ps. „Młot". Otrzymał wówczas przydział do placówki Zalesie, gdzie objął funkcję zastępcy dowódcy plutonu.

Gdy ze „spalonych" żołnierzy Armii Krajowej sierż. Antoni Białobłocki ps. „Wilk" zorganizował oddział partyzancki, wówczas Stefan Ejsmont został zastępcą dowódcy oddziału. W dniu 1. IV.1944 r. w starciu z żandarmerią w Sokółce ginie „Wilk", plut. rez. „Wir" obejmuje dowództwo oddziału. Dowodził oddziałem w Akcji „Burza", walcząc m. in. w Kuścińcach (atak na baterię przeciwlotniczą) i Gliniszczu (starcie z własowcami). Tuż przed wkroczeniem Sowietów „Wir" rozwiązuje oddział. Po przejściu frontu podejmuje pracę w magazynach zbożowych w Kuźnicy. Jesienią 1944 r. „Wir" zostaje aresztowany przez NKWD i osadzony w areszcie w Zalesiu. Z pewnością podzieliłby losy innych aresztowanych przez Rosjan żołnierzy obwodu AK Sokółka, gdyby nie błyskawiczna akcja Bronisława Rochalskiego ps. „Pan"-„Orlicz", który rozbił areszt w Zalesiu, uwalniając aresztowanych. Od tej pory „Wir" wraz z grupą żołnierzy kompanii Kuźnica ukrywał się w okolicznych wioskach.

Działalność sowieckich organów na terenie Sokólszczyzny spowodowała iż ukrywało się wielu konspiratorów. Od sierpnia 1944 r. w akcję tę włączyła się Milicja Obywatelska i powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Systematyczne obławy i pacyfikacje miały na celu likwidację podziemia. „Spalonych" przybywało z każdym dniem.

Sytuację dodatkowo skomplikowało napłynięcie na teren obwodu sporej ilości rozbitków z okręgów Armii Krajowej Wilno i Nowogródek oraz Inspektoratu Grodzieńskiego, którzy przebywali w prawie każdej polskiej wsi. Większość z nich miała za sobą udział w walkach partyzanckich na Wileńszczyźnie, udział w operacji „Ostra Brama". Rozgoryczenie, poczucie krzywdy sprawiało, iż gotowi byli do każdej najbardziej szalonej nawet akcji.

Wiosną 1945 r. zapadła w komendzie obwodu Sokólskiego Armii Krajowej Obywateli decyzja o utworzeniu ze „spalonych" żołnierzy oddziału samoobrony obwodu. Dowódcą oddziału został Stefan Ejsmont, a jego zastępcą plut. Bronisław Rochalski ps. „Orlicz".1 W kwietniu 1945 r. „Wir" obejmuje dowództwo nad 13-osobową grupką partyzantów. W tym też czasie powstały na tym terenie jeszcze inne oddziały ppor. Stanisław Bizi[illegible] ps. „Sokół" i oddział „Bohuna", który składał się z rozbitków w wileńskiej AK i miał być przerzucony za linię Curzona. Do oddziału „Bohuna" został wcielony niewielki oddziałek „Dęba", złożony z dezerterów z posterunku MO Krynki.

W momencie powstania Oddział „Wira" liczył tylko 13 żołnierzy i w krótkim czasie rozrósł się do ok. 60 osób.

Zarys dziejów oddziału.

Był to typowy oddział samoobrony, złożony wyłącznie ze „spalonych" żołnierzy obwodu sokólskiego Armii Krajowej Obywateli, a następnie sokólsko-białostockiego Obwodu Zrzeszenia „Wolności i Niezawisłość". Przez cały okres swego istnienia oddział był przechowalnią „spalonych" żołnierzy. Przez jego szeregi przeszli prawie wszyscy zdekonspirowani żołnierze AKO i WiN. Jedni przebywali w nim tylko kilka dni, do momentu wyrobienia przez legalizację dokumentów, które pozwoliłyby na wyjazd na inny teren. Inni pozostali w jego składzie aż do ujawnienia 15. IV.1947 r. W oddziale przebywali jako szeregowi żołnierze nawet dowódcy kompanii, jak np: pchr. Czesław Łozowski ps. „Lew", czy szef punktu przerzutowego pchr. Zenon Rudź ps. „Zet". W oddziale byli też dezerterzy z Ludowego Wojska Polskiego i milicji. Natomiast żołnierze AK z okręgów wschodnich, stanowili w nim niewielki procent. Organizatorem i pierwszym dowódcą był Stefan Ejsmont ps. „Wir". Pełnił funkcję dowódcy do momentu objęcia funkcji szefa dywersji w komendzie obwodu (IX.1945 r.). W okresie następnym co prawda był nadal nominalnym dowódcą, ale najczęściej przebywał przy sztabie obwodu lub na melinach, a faktycznie oddziałem dowodzili Antoni Czerepuk ps. „Marcin" a następnie Bronisław Rochalski ps. „Orlicz".

W związku z „akcją rozładowania lasów" we wrześniu 1945 r. w komendzie obwodu zapadła decyzja o rozwiązaniu większości oddziałów. Przestały istnieć oddziały „Sokoła" i „Bohuna". Oddział „Wira" opuściła wówczas duża grupa partyzantów, którzy wyjechali z terenów Sokólszczyzny m. in. Zenon Rudź ps. „Zet", Czesław Łozowski ps. „Lew", Bronisław Rochalski ps. „Orlicz". Większość z nich podjęła naukę w szkołach średnich i na uniwersytetach. „Orlicz" natomiast wyjechał do Poznania, gdzie pracował w Zakładach Cegielskiego. Wyjechał również szef dywersji w komendzie obwodu ppor. Walerian Sutuła ps. „Grom". „Wir", który objął funkcję po „Gromie", przekazał faktyczne dowództwo oddziału w ręce „Marcina" - Antoniego Czerepuka2.

Od 8. X.1945 r. oddział „Wira" wraz z całym obwodem znalazł się w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość". W tym czasie nastąpiła zmiana struktury okręgu Białystok. Północna część obwodu Białystok-powiat została włączona do obwodu Sokółka. Powstał Sokólsko-Białostocki Obwód WiN. W okresie X.1945-IV.1947 r. oddział „Wira" operuje na terenie Sokólszczyzny. Na terenie „białostockiej" części obwodu działają oddziały: pchr. Leona Suszyńskiego ps. „Litwin"„P-8" oraz oddział Gabriela Oszczapińskiego ps. „Dzięcioł". Nowomianowany komendant obwodu por. Hieronim Piotrowski ps. „Jur" dysponuje dodatkowo oddziałem osłonowym dowodzonym przez pchr. Stanisława Łaneckiego ps.: Przelotny". Oddział ten wraz z „Jurem" odejdzie na teren obwodu Ostrów Mazowiecka wiosną 1946 r.

Charakter oddziału nie zmienił się. Była to nadal przechowalnia „spalonych" żołnierzy podziemia, którzy nie chcieli rozstawać się ze stronami rodzinnymi. Liczba członków oddziału była płynna, zwiększała się w okresie pacyfikacji i wsyp w poszczególnych kompaniach. Ponieważ Stefan Ejsmont ps. „Wir" przebywał na ogół poza oddziałem, faktycznym dowódcą był „Marcin" Antoni Czerepuk jako komendant OL nie sprawdził się, przebywał na melinach nie interesując się oddziałem w którym zapanowało rozprężenie. Stan oddziału zaniepokoił inspektora białostockiego kpt Franciszka Potaryłę ps. „Oracz", który namówił do powrotu Bronisława Rochalskiego - „Orlicza". „Orlicz" objął komendę nad oddziałem w maju 1946 r. Przywrócił dyscyplinę, ale już w październiku 1946 r. rozwiązał oddział. Większość żołnierzy wyjechała lub została skierowana na meliny. W terenie pozostała tylko sekcja Wincentego Krutula ps. „Lancet".

Przeciwnikami dalszego istnienia oddziałów leśnych byli prezes obwodu ppor. c. w. Franciszek Stefanowicz ps. „Ziółko", oraz dwaj jego zastępcy Józef Repko ps. „Brzoza" i Wiktor Koziejko ps. „Nallas". Z polecenia prezesa obwodu oddziały leśne miał nadzorować jeden z najdzielniejszych żołnierzy obwodu, cieszący się dużym autorytetem wśród miejscowej ludności st. wach. Józej Bujwicki ps. „Dźwina". Zwolennikiem dalszego istnienia OL był natomiast inspektor „Oracz".

Ponieważ do sekcji „Lanceta" nadal napływali „spaleni", oddział powiększył się wkrótce do stanu ok. 40 partyzantów. 17 stycznia 1947 r. grupa operacyjna wojska i milicji otoczyła oddział „Lanceta" we wsi Międzyrzecz. Już w pierwszych minutach walki oddział stracił dwóch zabitych i kilku rannych. Ranny został także dowódca OL „Lancet". W tej sytuacji dowództwo objął kpr. Kazimierz Stasiulewicz ps. „Czarny", który wyprowadził oddział z okrążenia. Pościg prowadzony przez UB spowodował dalsze straty. W ręce bezpieki dostał się ranny „Lancet" oraz Jan Aniśko ps. „Granat".

Pod koniec 1946 r. do oddziału trafiła grupa żołnierzy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego z rozwiązanego oddziału Kazimierza Kamińskiego ps. „Błyskawica". Dowódcą tej grupki był Paweł Żak ps. „Bukiet". Grupka ta po rozwiązaniu oddziału „Błyskawicy" błąkała się jakiś czas po terenie gminy Sokółka, następnie została przygarnięta przez „Lanceta". Żołnierze NZW zostali przydzieleni do poszczególnych sekcji. Oni też ujawnili się jako pierwsi, bo już w marcu 1947 r.

Oddział istniał do 15. IV.1947 r., do dnia ujawnienia sokólsko-białostockiego obwodu WiN. Oddział stawił się na koncentracji w Sokolanach, dokąd maszerowały poszczególne kompanie siatki. Ujawniła się cała komenda obwodu, prawie wszyscy prezesi rejonów i gmin, wszyscy dowódcy oddziału „Wir", „Orlicz, „Marcin" i „Lancet" oraz wszyscy dowódcy sekcji. Kolumna kilkuset żołnierzy przemaszerowała z Sokolan do Sokółki. Po Mszy św. w kościele parafialnym żołnierze siatki oraz oddziały leśne „P-8" i „Wira" ujawniły się w PUBP Sokółka.

W okresie winowskim oddział nosił kryptonimy „Orlęta" a następnie „Sokoły". Przewinęło się przezeń przez cały czas istnienia około 100-120 ludzi. Oddział był całkowicie umundurowany. Doskonale uzbrojony w broń automatyczną i strzelecką. Większość żołnierzy przyszło do oddziału z własną bronią. Część uzbrojenia przekazała oddziałowi siatka. Np. kompania Kuźnica przekazała niemiecki rkm. Poza tym oddział doskonale się dozbroił w wyniku akcji na posterunki MO wiosną 1945 r. oraz w czasie akcji na transport broni do PUBP Sokółka 10. VI.1946 r. W czasie tej ostatniej akcji zdobyto 3 erkaemy, 59 pepesz oraz dużą ilość amunicji i granatów.

Szefem oddziału przez cały okres istnienia był sierż. Antoni Potapczyk ps. „Żubr". Miał on do dyspozycji konia i furmankę, na której przewożona była broń i zaopatrzenie oddziału. Oddział nie posiadał własnego lekarza, ani nawet sekcji sanitarnej. W 1946 r. funkcję sanitariusza spełniał August Filipowski ps. „Sokół", który jednocześnie był sekcyjnym 2 sekcji.

W sierpniu 1946 roku stan oddziału wynosił 36 partyzantów, w tym: 1 st. sierżant, 2 sierżantów, 16 kaprali, 4 st. strzelców i 8 strzelców. Stan uzbrojenia przedstawiał się następująco:
- 1 rusznica przeciwpancerna
- 11 rkaemów (2 niemieckie, 6 sowieckich, 2 czeskie, 1 belgijski)
- 60 automatów pepesze
- 2 kb. 10-strzałowe niemieckie
- 2 kb. 10-strzałowe sowieckie
- 1 kb. 10-strzałowy angielski
- 20 kb. niemieckich
- 30 pistoletów
- 2 rakietnice i 7 lornetek

Stan amunicji był następujący:
- 3500 sztuk do kb i rkm niemieckich
- 2000 sztuk do rkm sowieckich
- 3000 sztuk do pepeszy
- 26 sztuk do rusznicy ppanc
- 17 sztuk do rakietnic

Struktura oddziału.

Oddział podzielony był na sekcje. W dużej liczebności było 5-6 sekcji. W oddziale większe znaczenie miała funkcja sekcyjna niż stopień wojskowy i pełniona w siatce funkcja. Często sekcyjnymi byli ludzie bardzo młodzi, wyszkoleni w konspiracyjnych szkołach podoficerskich, w ich sekcjach natomiast służyli starsi stopniem żołnierze, którzy mieli za sobą przedwojenną służbę wojskową a nawet udział w kampanii 1939 r. Jednak osobiste walory żołnierza, zdolności dowódcze i zimna krew w akcji dawały partyzantowi większy autorytet niż stopień wojskowy.

Według Bronisława Rochalskiego w 1946 r. oddział składał się z czterech sekcji:

1 sekcja - d-ca „Łuska" (NN)
2 sekcja - d-ca August Filipowski ps. „Sokół" a po jego wyjeździe Bolesław Ejsmont ps. „Młot".
3 sekcja - d-ca Aleksander Czarnowicz ps. „Ryś"
4 sekcja - d-ca Wincenty Krutul ps. „Lancet".

Działalność Oddziału.

W pierwszym okresie istnienia IV-X.1945 r. oddział dokonał kilkunastu akcji likwidacyjnych oraz akcji na posterunki MO. Te ostatnie nie były zbyt niebezpieczne. Posterunki były obsadzone na ogół przez żołnierzy AKO i NSZ. Bardzo często cały posterunek łącznie z komendantem stanowili żołnierze podziemia. Zastępcą komendanta powiatowego MO do spraw polityczno-wychowawczych był sierż. Władysław Aniśko ps. „Ryś", dowódca drużyny 8 kompanii AKO. Rozbrojenie posterunku było najczęściej uzgodnione z komendantem milicji. Milicjanci dobrowolnie oddawali broń, a oddział dla niepoznaki ostrzeliwał budynek. Często też milicjanci wstępowali do oddziału. Oddział rozbroił m. in. posterunki w Sidrze i Nowym Dworze.

Oddział unikał starć z jednostkami Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego. „Leśni" unikali strzelania do żołnierzy LWP, natomiast żołnierze KBW w czasie starć z „leśnymi" nie przejawiali szczególnego entuzjazmu, strzelając w powietrze. Dlatego oddziały leśne ponosiły tak niskie straty na terenie całej Białostocczyzny. Bardzo często całkowicie okrążone OL wychodziły bez trudu z okrążenia, a ponoszone straty były minimalne. Sytuacja była odmienna, gdy w obławie brały udział jednostki Armii Czerwonej. Bez walki zakończyło się spotkanie oddziału pod dowództwem „Orlicza" w lesie w rejonie Lipiny z grupą operacyjną KBW.

W drugim okresie działalności OL „Wira" (X.1945-IV.1947 r.) najgłośniejszą akcją oddziału była akcja na Wysokiej Górze na szosie z Buksztela do Sokółki 10 czerwca 1946 r. Oddział pod dowództwem „Orlicza" napadł na transport broni przewożonej do PUBP Sokółka.

Największe straty poniósł oddział w walce pod wsią Chilmony (1945 r.) oraz w walce we wsi Międzyrzecz. Mimo częstych obław władzom bezpieczeństwa nie udało się zlikwidować oddziału aż do IV.1947 r.

Z pośród żołnierzy OL „Orlęta" polegli m. in. Edward Bołtruczek
ps. „On", Edward Bułkowski ps. „Brzózka", Nikodem Rochalski ps.
„Kiliński", Rudź ps. „Skowronek" i Stanisław Staniszewski ps. „Saszka". Dwóch partyzantów zostało skazanych na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku: Piotr Tomaszycki ps. „Gałązka" oraz Władysław Doroszkiewicz ps. „Skowronek".

Niekompletna lista OL „Wira":

Ejsmont Stefan ps. „Wir" Kuścińce
Rochalski Bronisław ps. „Pan"„Orlicz" Popławce
Czerepuk Antoni ps. „Marcin" Nowy Dwór
Krutul Wincenty ps. „Lancet" kol. Giełożycha
Aniśko Jan ps. „Granat" Kamionka Stara
Aniśko Stanisław Henryk ps. „Włóczęga" Kamionka Stara
Bajko Władysław ps. „Malawicze Dolne
Bieniasz-Sadowo
Biernacki Edmund ps. „Kajdan" Sidra
Bołtruczek Edward ps. „On" Bierwicha
Bułkowski Edward ps. „Brzózka" Mieleszkowce
Charyło Kazimierz-Podjałówka
Chmielewski Bronisław-Kraśniany
Czarnowicz Aleksander ps. „Ryś" Kraśniany
Doroszkiewicz Władysław ps. „Skowronek" Studzieńczyzna
Ejsmont Czesław ps. „Cygan" Kuścińce
Ejsmont Bolesław ps. „Młot" Kuścińce
Fiedorczyk Alfons ps. „Szwejk" Kuźnica
Filipowski August ps. „Sokół" Stock
Grygorczuk Mieczysław ps. „Żbik" Holiki
Guzieniuk Czesław ps. „Słoń" kol. Brukowo
Hołubowski Stanisław ps. „Przelotny" Sidra
Jarek Tadeusz ps. „Zocik" Grodno
Jelski Kazimierz-Podjałówka
Jelski Leonard-Podjałówka
Jelski Tadeusz-Podjałówka
Krupa Henryk ps. „Dąb" Sokółka
Krzywicki Edward ps. „Burza" Grodno
Kucharczyk Edward ps. „Kret" Mieleszkowce
Kunda Stanisław ps. „Biały" Kuźnica
Kunda Zygmunt ps. „Kamień" Słojniki
Łabieniec Wacław ps. „Ryś" Nowy Dwór
Łabieniec Tadeusz ps. „Strzała" Nowy Dwór
Łobaczewski Bronisław ps. „Smentek" Sokółka
Łozowski Czesław ps. „Lew" Kuźnica
Miltyk Bronisław-Kraśniany
Miltyk Michał ps. „Jaskółka" Kraśniany
Murziński Władysław ps. „Klin" Rudawka
Myśliwiec Jan ps. „Kruk" Kamienna Nowa
Olechno Stanisław ps. „Cygar" Jałówka
Popławski Karol ps. „Tankista" Straż
Popławski Kazimierz ps. „Jaskółka" Straż
Potapczyk Antoni ps. „Żubr" Wołkusz
Ragin Bronisław ps. „Matrosow" Nowogródczyzna
Rochalski Nikodem ps. „Kiliński" Popławce
Rochalski Stanisław ps. „Kuzyn" Popławce
Rudź Kazimierz-Kuźnica
Rudź Zenon ps. „Zet" Kuźnica
Rudź ps. „Kanarek" Nowodziel
Sepko Jan ps. „Tygrys" Łozowo
Serbin Edward ps. „Wilk" Pawełki
Siemiński Jan ps. „Grzmot" Grodno
Skarbiński Bolesław-Grodno
Staniszewski Stanisław ps. „Saszka" Nowogródczyzna
Stasiulewicz Kazimierz ps. „Czarny" Nowy Dwór
Szczykowski Zygmunt ps. „Zych"„Andrzej" Kierejwszczyzna
Waleszczyk Edward ps. „Porwa" Malawicze Dolne
Wilczewski Stanisław ps. „Felek" Sieruciowce
Wysocki Kazimierz ps. „Lotnik" Straż
Taudul-Malawicze Dolne
Taudul Władysław-Nowinka
Tomaszycki Piotr ps. „Gałązka" Sokółka
Trochim Józef ps. „Groźny" Słojniki

Tulkis Mikołaj ps. „Dąb" Kuźnica
Żak Paweł ps. „Bukiet" Podkamionka
NN Józef-Dębowa
„Gołąb" (NN)
„Grab" (NN)
„Błękitny" (NN)
„Olczyk" (NN)
„Stalowy" (NN)
„Wędka" (NN)
„Zemsta" (NN)
„Żelazny" (NN)
„Żniwiarka" (NN)

1. Bronisław Rochalski ps. „Pan"-„Orlicz", syn Ludwika i Marii z d. Szydłowskiej. Urodzony 25. IX.1914 r. we wsi Popławce. Walczył w kampanii 1939 r. w 81 pp. W Armii Krajowej od marca 1943 r. Zaprzysiężony przez Antoniego Białobłockiego ps. „Wilk". Pełnił funkcję zastępcy dowódcy plutonu a następnie dowódcy kompanii na Placówce Kuźnica. W oddziale przebywał od IV.1945 r. Po rozwiązaniu oddziału w X.1946 r. został mianowany delegatem komendy obwodu na bataliony „Zagajnik I" i „Zagajnik II" oraz kompanię „Seradela". Aresztowany 8. II.1951 r., uniewinniony po rozprawie sądowej.
2. Antoni Czerepuk ps. „Marek"-„Marcin". Żołnierz AK Placówki Nowy Dwór. Syn Franciszka i Stefanii z Szakrów. Urodzony 19. VI.1919 r. w Nowym Dworze. Żołnierz Placówki AK Nowy Dwór. Po wojnie wstąpił do MO. Zdezerterował wstępując do OL „Wira".

Ali MIŚKIEWICZ

Wspominając tamten Sierpień

W powojennych dziejach Polski wiekszość wydarzeń, tych o przełomowym znaczeniu nosi nazwę miesięcy. Ów miesiąc, w którym one zachodziły na stałe zapisał się w podręcznikach historii. Wspominając zatem o wydarzeniach poznańskich w czerwcu 1956 roku, nazwiemy je Poznańskim Czerwcem 1956, podobnie o zmianach politycznych w kraju jesienią tamtego roku mówimy jako o Polskim Październiku 1956. Bunt młodych w marcu 1968 nazwiemy Marcem 1968, tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. symbolizowac będzie nazwa Grudzień 1970. I jeszcze jedno wydarzenie nazywamy nazwą miesiąca - jest nim Sierpień 1980. Minęła właśnie 15 rocznica, kiedy część Wybrzeża objęta została powszechnym strajkiem. Nastąpiło to ku zaskoczeniu władz, które liczyły, że po wygaśnięciu strajków w Lublinie w lipcu tamtego roku, nie bedzie już więcej społecznych protestów. A tymczasem stanęły największe zakłady Trójmiasta i Szczecina.

Wiadomość o strajkach na Wybrzeżu dosięgła mnie w Białymstoku, gdzie przebywałem z wizytą u krewnych. Na wieść o nich postanowiłem udać się natychmiast do Gdańska, aby znaleźć się w newralgicznym miejscu wydarzeń. Po kraju krążyły już różne niewiarygodne wieści, według których nikogo nie wpuszcza się do Trójmiasta, że wszystkie drogi są tam zablokowane i że w kierunku Wybrzeża podążają kolumny wojskowe, w tym też i radzieckie. Radzono mi w Białymstoku, żebym wracał natychmiast do Szczecina, gdzie wówczas mieszkałem, ale ja uparłem się pojechać do Gdańska. Dotarłem tam bez przeszkód i natychmiast udałem sie pod główną bramę stoczni. Zastałem tam wielki tłum ludzi. Na placu przed stocznią był już ustawiony kilkunastometrowy drewniany krzyż poświęcony poległym Stoczniowcom z grudnia 1970 roku. Brama stoczni podobnie jak długi płot oddzielający ją od placu i sąsiednich ulic udekorowane były kwiatami, wszędzie wisiały plansze z wypisanymi na nich żądaniami swobód demokratycznych w kraju, ukarania winnych śmierci stoczniowców w grudniu 1970 roku i upamiętnienia poległych. Na płocie przy jednej z bocznych bram rzucił mi się w oczy orzeł z koroną, a wszędzie widniały portrety Papieża Jana Pawła II. Z jednej strony płotu stali stoczniowcy, z drugiej ich rodziny i znajomi prowadzili z nimi długie rozmowy. Podsuwano im żywność i napoje. Nie wszystkim wystarczały obiady stołówki stoczniowej, która pracowała przez cały czas strajków. Włączyłem się do tych rozmów spotykając przy okazji znajomych. Pamiętam, że pomimo ciągłego napięcia i stale powtarzających się plotek o przygotowaniach do siłowego rozwiązania strajków, nastroje strajkujących były dość pogodne. Wszystkich, którzy przybywali po raz pierwszy przed główną bramę stoczni interesowały żądania strajkujących, które w postaci 21 punktów-postulatów wywieszone były przy tej bramie, na wielkiej planszy. Były to postulaty nie tylko pracowników stoczni lecz wszystkich strajkujących. Pierwszy postulat tych żądań brzmiał: „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych, wynikająca z ratyfikacji przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczący wolności związkowych". Większość osób stojących przed bramą notowała te postulaty. Zauważyłem wielu korespondentów krajowych i zagranicznych fotografujących wszystko wokół. Ze znajomymi wybrałem się na dłuższą przechadzkę po Gdańsku. Potem pojechałem kolejką SKM do Gdyni, która jako jedyna w tym czasie utrzymywała łączność w całej aglomeracji trójmiejskiej. Wszędzie panował spokój, nigdzie żadnych incydentów, wszyscy byli wobec siebie uprzejmi, przyjacielscy, przytłoczeni rozmiarem tych wydarzeń. Wnet rozpoczęły się rozmowy z delegacją rządową, Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, któremu przewodniczył nieznany wówczas jeszcze szerokiemu ogółowi, Lech Wałęsa.

Niepokojąc się o los bliskich, gdyż przerwana była łączność telefoniczna w kraju, wyruszyłem do Szczecina. W pociągu, wszyscy wiele rozmawiali, dyskutowaliśmy o wydarzeniach, których byliśmy świadkami, zastanawialiśmy się nad przyszłością kraju, nawet snuliśmy perspektywy obalenia tego rządu i zastąpienia go bardziej demokratycznym, respektującym swobody obywatelskie, ale odkładaliśmy to na dalszą przyszłość, zdając sobie sprawę, że to obecnie nie jest możliwe.

W Szczecinie było podobnie jak w Gdańsku. Pod główną bramą tamtejszej stoczni stały tłumy ludzi. Tam także wisiała tablica zawierająca owe 21 postulatów. Tuż przed samym głównym wejściem do stoczni ustawiona była duża urna do której wrzucano wolne datki pieniężne z przeznaczeniem dla przyszłych wolnych i niezależnych związków. Przed urną stała honorowa straż stoczniowców, ubrana w szare kombinezony robocze i w stalowych kaskach na głowach. Co pewien czas przez głośnik podawano Komunikaty Strajkowe, w tym najbardziej oczekiwane przez wszystkich, z Gdańska. Tu także słyszało się coraz częściej o Lechu Wałęsie, a także o przywódcy strajku szczecińskiego Marianie Jurczyku. Inną formą przekazy-

wania informacji były co jakiś czas rozdawane stojącym pod bramą ulotki zawierające ważne komunikaty o bieżącej sytuacji w Szczecinie oraz w kraju. Ulotki te po zapoznaniu się z ich treścią przekazywaliśmy dalej znajomym w mieście, którzy strajkujący w innych zakładach pracy nie mieli możliwości przybyć pod bramę stoczni. Z moją koleżanką Teresą, podobnie jak ja historykiem, przemierzaliśmy miasto obserwując wszystko dookoła. Zdawaliśmy sobie sprawę, że na naszych oczach dzieją się ważne wydarzenia, że być może zmienią one bieg naszych dziejów, tych najnowszych zapoczątkowanych w 1945 roku.

Szczecin był opustoszały, nie pracowały żadne wieksze zakłady pracy, stała komunikacja miejska. Na murach wielu zakładów pracy wywieszone były, tak jak w Trójmieście, plansze z żądaniami swobód demokratycznych. Wszędzie widzieliśmy straż strajkową z białoczerwonymi opaskami na rękach, Przechodząc obok zajezdni tramwajowej w dzielnicy Niebuszewo zobaczyliśmy udekorowany kwiatami tramwaj, za dekoracje służyły mu też chorągiewki o barwach narodowych i papieskich. W przednim oknie wagonu, gdzie znajduje się miejsce motorniczego, ustawiony był portret Matki Boskiej Częstochowskiej, cały w kwiatach. Wóz ten wysunięty był z zajezdni i robił wrażenie jakby za chwilę miał wyruszyć na miasto. Z Teresą żałowaliśmy, że nie możemy brać czynnego udziału w strajkach, ona była nauczycielką, a ja w tym czasie słuchaczem Studium Doktoranckiego Instytutu Historii PAN w Warszawie. Solidaryzując się ze strajkującymi prawie każdego dnia byliśmy pod bramą stoczni. I w Szczecinie też rozpoczęły się rozmowy z delegacją rządową, w wyniku których zakończył się strajk o dzień wczesniej niż w Gdansku. Wieść o tym szybko gruchnęła po mieście, a widomym tego znakiem były kursujące już z rzadka tramwaje. Miasto było puste, gdyż wszyscy śledzili przy odbiornikach telewizyjnych transmisję z uroczystości podpisana porozumień w Stoczni Szczecińskiej. Wieczorem wyruszyliśmy na ulice okazując swą radość z zakończenia strajków. Stała się tym większa, kiedy wkrótce podpisano także porozumienie w Gdańsku. 31. VIII.1980 roku zaczął się w Polsce okres dwuwładzy Solidarności i PZPR, krótki, burzliwy, pełen wielkiej nadziei oraz jednocześnie i niepokojów o przyszłość kraju. Boć przecież żaden z naszych sąsiadów nie patrzył przyjaźnie na to co się stało u nas. Znów zaczęły powracać wieści o mającej niebawem nastąpić obcej interwencji.

Po sierpniu 1980 r. jako członek „Solidarności" Regionu Mazowsze z racji odbywania studiów doktoranckich w Warszawie włączyłem się do działalności związkowej. Na prośbę Biblioteki Instytutu Historii PAN zaopatrywałem ją w prasę solidarnościową Pomorza Zachodniego oraz we wszelkie inne wydawnictwa, które legalnie lub nielegalnie ukazywały się w Szczecinie. Podczas strajków, które wybuchały co jakiś czas wraz z innymi słuchaczami Studium Doktoranckiego utrzymywaliśmy porządek w Instytucie, pilnując go przed nieproszonymi gośćmi. Kierował nami podczas tych akcji nieżyjący już dziś prof. dr hab. Tadeusz Łepkowski. Pamiętam jeden ze strajków w stolicy wiosną 1981 r., staliśmy przed wejściem do Instytutu z białoczerwonymi opaskami na rękach i znaczkami Solidarności w klapie marynarek. Rynek Starego Miasta, gdzie mieści się Instytut był opustoszały. Naprzeciwko nas, po drugiej stronie Rynku, stali nasi koledzy z Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, pilnując podobnie jak my swego zakładu pracy. Pustym placem wolno poruszał się milicyjny gazik, ponoć nas fotografowano.

Posiedzenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, Sierpień 1980 r.
fot. S. Składanowski

Stocznia Gdańska. Sierpień '80, Lech Wałęsa, Magda Modzelewska i Bożena Rybicka prowadzi modlitwę
fot. Leszek Biernacki

Msza św. - Stocznia Gdańska, Sierpień 1980
fot. Leszek Biernacki

RECENZJE

"Nie tylko pierwsza brygada 1914-1918"

I wojna światowa wybuchła przed 80 laty a mimo to wciąż budzi duże zainteresowanie polskich historyków. Wysiłek militarny narodu polskiego w tej wojnie nie jest dostatecznie zbadany. Dysponujemy całościowym opracowaniem Mieczysława Wrzoska poświeconym polskim formacjom wojskowym podczas I wojny światowej oraz monografią II Brygady Legionów pióra Stanisława Czerepa (II Brygada Legionów Polskich, Warszawa 1991) i opisem bitwy pod Kostiuchnówką tegoż autora (Bitwa pod Kostiuchnówką 1916, Warszawa 1994). Dlatego z wielkim podziwem należy się odnieść do poczynań Stanisława Jana Rostworowskiego, który podjął się trudnego zadania opublikowania dokumentów, wspomnień, listów pozostawionych przez Stanisława Rostworowskiego z okresu I wojny światowej.

Stanisław Rostworowski otrzymał staranne wykształcenie cywilne. Po wybuchu I wojny światowej został kawalerzystą Legionów Polskich. W pierwszych dwóch latach wojny swoje losy związał z II Brygadą Legionów Polskich. Następnie był adiutantem płk Władysława Sikorskiego szefa Departamentu Naczelnego Komitetu Narodowego (DW NKN). Pracował w Krajowym Inspektoracie Zaciągu (KIZ) w Dowództwie Uzupełnień Polskiego Korpusu Posiłkowego a na koniec był adiutantem Rady Regencyjnej. Miał więc dostęp do niezwykle cennych dokumentów z których sporządził odpisy.

Opublikowanie dokumentów zgromadzonych przez Stanisława Rostworowskiego jest przedsięwzięciem niezwykle pożądanym. W okresie międzywojennym pisano głównie o I Brygadzie. Z jej szeregów wywodzili się wybitni oficerowie i politycy. II Brygada Legionów popularnie nazywana Żelazną lub Karpacką pozostawała jakby w cieniu czynu pierwszobrygadowego, mimo że odegrała wybitną rolę wśród jednostek legionowych. Formacja ta przechodziła burzliwe dzieje wojenne uczestnicząc w walce z trzema zaborcami. II Brygada Legionów miała odmienne oblicze ideowe od dwóch pozostałych tj. I i III. Opublikowane materiały źródłowe poszerzają naszą wiedzę o tej formacji i pozwalają lepiej poznać różne kierunki polityczne i w pełni zrozumieć skomplikowane losy Legionów Polskich.

W tomie I „Nie tylko pierwsza brygada. Z legionami na bój" znalazły się materiały związane z formowaniem się pododdziałów legionowych i ich udziałem w walkach w Karpatach wschodnich. Dużo miejsca poświęcono szarży ułanów 13 czerwca 1915 r. pod Rokitną. Tom ten kończą biogramy wybitnych oficerów Legionów Polskich.

W drugim tomie „Nie tylko pierwsza brygada. Przed i po kryzysie przysięgowym" występuje zestaw najważniejszych tekstów z okresu pracy Stanisława Rostworowskiego w Krajowym Inspektoracie Zaciągu pod zwierzchnictwem płk Władysława Sikorskiego od listopada 1916 do sierpnia 1917 r. Okres ten obfitował w wydarzenia związane z kryzysem przysięgowym w legionach. Dokumenty opublikowane w tym tomie pozwalają lepiej zrozumieć rozterki duchowe jakie przechodzili uczestnicy tych wydarzeń.

Trzeci tom zatytułowany „Nie tylko pierwsza brygada. W adiutanturze Rady Regencyjnej" zawiera również wiele dotąd nie publikowanych dokumentów z okresu pracy Stanisława Rostworowskiego w Radzie Regencyjnej. Szczególnie cenne są te które dotyczą zabiegów Rady Regencyjnej o złagodzenie represji władz austriackich wobec legionistów ujętych pod Rarańczą 15 lutego 1918 r.

Opublikowane dokumenty są cennym wkładem w rozszerzenie naszej wiedzy polskiej w okresie pierwszej wojny światowej. Godny podziwu jest wysiłek autora w przygotowaniu not biograficznych osób wymienionych w dokumentach. Można było jedynie precyzyjniej ustalić daty awansów oficerów legionowych na wyższy stopień wojskowy posługując się opracowaniem (Lista starszeństwa oficerów Legionów Polskich, Warszawa 1917 r.)

Nie ma racji Autor pisząc (t. I, s. 6), że dziejom II brygady Legionów poświęcono niewiele miejsca w historiografii polskiej. Co do tego okresu międzywojennego i Polski Ludowej to w zupełności się zgadzam. W ostatnich latach w badaniach nad dziejami II Brygady dokonał się znaczny postęp. Ukazała się bowiem książka Stanisława Czerepa (II brygada Legionów Polskich 1914–1918, Warszawa 1991 r.) jako rozszerzona wersja dysertacji doktorskiej. Ponadto Mieczysław Wrzosek przedstawił rzetelne opracowanie (Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914–1918 r., Warszawa 1990 r.). Znajdują się w nim m. in. solidnie opracowane bitwy legionowe. Autor nie wspomina też o Wiktorze Krzysztofie Cyganie przygotowującym słownik biograficzny oficerów Legionów Polskich.

Przechodząc do analizy poszczególnych części pracy wypada skonstatować, że Stanisław Rostworowski na ogół wychodzi obronną ręką przy redagowaniu materiałów archiwalnych. Nie uniknął jednak drobnych błędów i przeinaczeń.

Autor niezbyt ściśle podał straty pod Mołotkowem. Liczba rannych Rosjan oceniana na dwa do trzech tysięcy jest mocno przesadzona (t. I, s. 14).

Niezgodne z prawdą jest to, że ppłk Józef Haller 23 stycznia 1915 r. kierował obroną Rafajłowej przed atakiem Rosjan. Haller w tym dniu opuścił Rafajłową i przebywał na uroczystym obiedzie w siedzibie dowództwa austro-węgierskiego w Marmarosz-Szigiet. W zastępstwie dowodził kpt. Henryk Minkiewicz (t. I, s. 18).

Autor przecenia znaczenie kampanii bukowińsko-galicyjskiej legionów wiosną 1915 pisząc, że doprowadziła ona do powstrzymania ofensywy przeciwnika na obszarze państwa węgierskiego. Przeprowadzona była skromnymi siłami i wielkich rozstrzygnięć nie mogła spowodować.

Pewna nieścisłość występuje przy określaniu strat pod Kostiuchnówką z lipca 1916 r. Nie do przyjęcia jest twierdzenie, że II Brygada Legionów Polskich poniosła najmniejsze straty wśród brygad legionowych. W bitwie pod Kostiuchnówką straty tej formacji były wysokie i w 3 pułku piechoty dochodziły nawet do 50 procent stanu osobowego. Najniższe straty poniosła III Brygada Legionów Polskich (J. Sadowski, Bój Legionów Polskich pod Kostiuchnówką w dniach 4–6 lipiec 1916 r., Warszawa 1931 r., s. 94).

Awans płk Zygmunta Zielińskiego do stopnia generała nastąpił nie 22 września 1917 r. a 29 listopada 1917 r. (t. I, s. 33).

Niezbyt precyzyjnie określona została data powołania do życia 4 pułku piechoty Legionów Polskich (t. I, s. 312 przypis nr 266). Powstał on nie w styczniu 1915 r. ale 8 maja 1915 r. W międzyczasie była oddolna próba utworzenia 4 pułku piechoty przez mjr Bolesława Roję 15 marca 1915 r.

Uściślenia wymaga także informacja o podziale kompetencji między naczelnymi władzami legionów. Autor w t. I na s. 267 i 268 podaje, że „zwierzchnictwo nad Departamentem Wojskowym sprawowały: Komenda Legionów i Naczelna Komenda Armii austro-węgierskiej. Zwierzchnictwo Komendy Legionów nad Departamentem Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego było iluzoryczne. Pracownicy obu organów ciągle toczyli spory kompetencyjne. W zasadzie ustaliło się, że Departament Wojskowy NKN werbował ochotników i tworzył z nich pododdziały legionowe, które przekazywał celem dalszego szkolenia Komendzie Legionów Polskich. Ponadto zajmował się sprawami ewidencyjnymi i zapomogowymi. Komenda Legionów była organem kompetentnym w sprawach wojskowo-administracyjnych formacji legionowych.

W t. I na s. 268 prawdopodobnie błędnie została podana data urodzin Rogera Battalgii. Bolesław Roja nie utworzył z Drużyn Sokolich całego 2 pułku piechoty tak jak pisze Autor (t. I, s. 270 przypis nr 18) a jedynie IV batalion tego pułku i próbował sformować 4 pułk piechoty.

Pewnego uzupełnienia wymagają informacje zawarte w biogramie Mariana Januszajtisa (t. I, s. 282 przypis nr 107). Nie został on odwołany z Kielc a wysłany przez Józefa Piłsudskiego do Krakowa z zadaniem rozbijania organizujących się oddziałów legionowych. „Rozkaz ten — wspomina Januszajtis — zwłaszcza po zorientowaniu się w Krakowie oraz niesłychane moje rozczarowanie na tle fikcji Rządu Narodowego w Warszawie nastroiły mnie coraz krytyczniej. Legionów rozbijać nie mogłem, nie chciałem. Wziąłem się do organizowania I baonu 2 pułku (A. Garlicki, Józef Piłsudski 1867–1935, Warszawa 1931 r., s. 94).

Nie ma pewności, że to Józef Piłsudski, 14 lutego 1916 r. na Wołyniu, powołał dla oddziałów legionowych Radę Pułkowników (t. I, s. 318). Najprawdopodobniej zrobił to płk Bolesław Roja.

W t. II brakuje s. 138 co obciąża oficynę wydawniczą.

W tomie II na s. 186 niezbyt precyzyjnie określono liczbę legionistów objętych aktem oskarżenia w Marmarosz-Szigiet. Było ich 115 a nie 334.

Drobne uchybienia nie są w stanie przesłonić faktu, że powstało wartościowe dzieło tak potrzebne do rozszerzenia naszej wiedzy o formacjach legionowych z okresu I wojny światowej. Należy go polecić szczególnie historykom wojskowości, studentom historii, nauczycielom i młodzieży szkół średnich a także miłośnikom historii.

Stanisław CZEREP

„Nie tylko pierwsza brygada 1914–1918, Warszawa 1993 (t. I Z legionami na bój, t. II Przed i po kryzysie przysięgowym, t. III W adiutanturze Rady Regencyjnej).

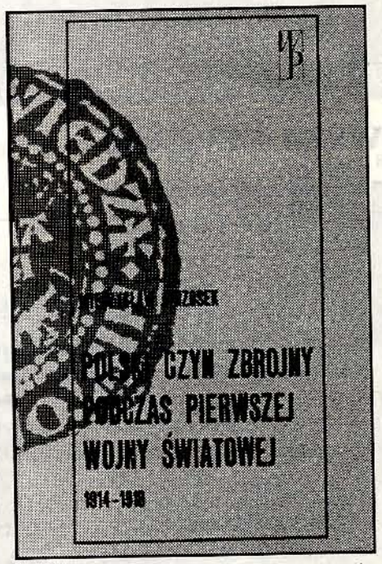

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA HUM.
010447

5,00

Z PUBLIKACJI PROF. MIECZYSŁAWA WRZOSKA

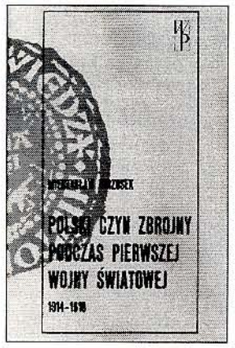

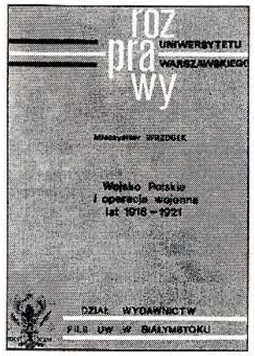

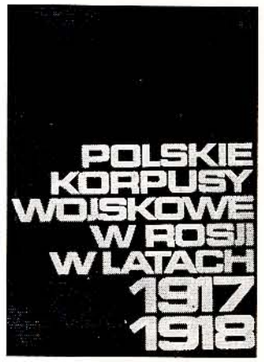

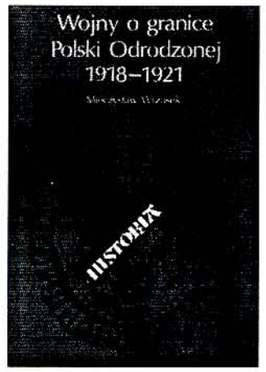

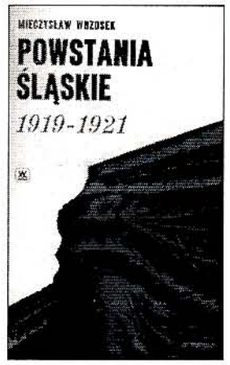

Władzom Miasta Białegostoku
składamy serdeczne podziękowanie
za pomoc w wydaniu tegoż numeru "Gryfity"

Redakcja

Redagują: Jan Leończuk, Iwona Pugacewicz, Adam Miodowski.
Współpraca: Włodzimierz Jarmolik, Maciej Karczewski (Zakład Historii Polski i Powszechnej do końca XVIII w.), Ali Miśkiewicz (Zakład Historii Europy Wschodniej), Hanna Konopka, Jerzy Urwanowicz (Zakład Historii Najnowszej, Powszechnej i Polski)
Wydawca: Instytut Historii Filii UW w Białymstoku ul. Liniarskiego 4.
Skład: A&S Białystok, tel. 420-471 w. 285; Druk: Inter Druk tel. 755-038

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w materiałach przeznaczonych do publikacji.

ISSN 1231-3041